

Życie obecnej inkarnacji Archanioła Michała

FAZA PROJEKTOWA

1. **Urodzenie i dzieciństwo**
2. **Nauka życia i lata szkoły podstawowej**
3. **Szkoła średnia, młodość i rozwój**
4. **Studia, marzenia i ideały**
5. **Miłość i założenie rodziny**
6. **Praca i poznanie prozy życia**
7. **Dzieci i budowanie gniazda rodzinnego**
8. **Okres przygotowania do misji, poznanie Boga i siebie.**
9. **Dotychczasowy przebieg Misji.**
10. **Wypadki i działanie opatrności.**
11. **Budowane Jedności i co dalej ?**

1. Urodzenie i dzieciństwo

Moje urodzenie było prozaiczne jak każdego. Urodziłem się 10 lutego 1968 roku w szpitalu gminnym w Jasienicy Rosielnej k.Brzozowa w b.woj. krośnieńskim (obecnie podkarpackie) jako syn chłopski. Mamusia Bronisława z domu Niemiec. Tatuś Kazimierz. Mieli 6 hektarowe gospodarstwo w ponad 40 kawałkach porozrzucanych na przestrzeni ok. 6 km. Tatuś był tzw chłoporobotnikiem. Pracował w lesie, przy drogach, w melioracji i na końcu jako palacz w zakładzie drobiarskim. Po powrocie z pracy szedł do roboty w polu. Całe życie pracował bardzo ciężko fizycznie. Urodzenia nie pamiętam chociaż błogość łona matki gdzieś w głębokiej podświadomości odczuwam do dziś tak samo jak zapach matczynego mleka. Zawsze gdy przy powitaniu z mamusią całujemy się ten zapach mleka powraca. Gdy moje starsze siostry Danka (11 lat) i Grażyna (7 lat) przyjechały do szpitala panie pielęgniarki kazały spośród niemowlaków wybrać im swego braciszka. Trafiły w 10-tkę – wybrały mnie. Miałem czarne kręcone włoski. Był spór o moje imię. Mamusia chciała abym był Jackiem. Babcia Maria mamusia tatusia upierała się żebym był Mieczysławem (dziadek Piotr zmarł wcześniej). W końcu zostałem Mieczysławem Jackiem. Wywalczyłem sobie w końcu by mówiono mi Jacek. Bardziej mi odpowiadało. Zresztą kilka razy wyniknęły niezłe numery gdy raz podpisywałem się Jacek a innym razem Mieczysław. W końcu podpisywałem się Mieczysław Jacek gdy w czasie studiów doszło do jakiegoś spięcia z tego powodu w dziekanacie. Wychowywałem się w domu krytym strzechą i do dziś pamiętam jak wdrapywałem się wąskim przesmykiem na zapiecek z cegły i gliny na którym przyjemnie było spać bo cegła długo trzymała ciepło. W domu była kuchnia i pokój. Przez cały dom przebiegała sień, z której wchodziło się do w.w części mieszkalnej będącej z jednej strony, na strych po drabinie i do stajni, która jednocześnie była toaletą oraz do tzw. komory, w której przechowywało się zapasy żywności w beczkach i dzieżkach. Okna były małe, drzwi niskie, a próg do domu wysoki. Tak się dawniej budowało i mieszkało na Galicji. W domu były proste drewniane sprzęty. Dom był bielony wapnem z tzw siwcem. Oczywiście jak chatka baby Jagi był on przez dzieciaki regularnie odrapywany z wapna, które służyło jako pokarm. Mamusia mówi, że głównie zajmowały się mną siostry bo rodzice mieli dużo pracy. Gdy siostry były w szkole wyglądałem z łóżeczka czy aby ktoś się mną nie zainteresuje. Gdy stałem się już bardziej samodzielny towarzyszyłem pracującym mężczyzną przy budowie naszego nowego domu. Pomagać jeszcze nie mogłem więc śpiewałem. Podobno jak na dziecko śpiewałem bardzo ładnie i bardzo mnie ten śpiew angażował. W końcu ok.1972 roku przeprowadziliśmy się do nowego domu. Zapach lakierów i świeżości pamiętam do dziś. Ponieważ po budowie została kupka piasku było to miejsce moich głównych zabaw. Piaskownica była całym moim życiem. Przesiadywałem w

niej całymi dniami. Budowałem i burzyłem. Dziecięcą fantazją przekształcałem w różne kształty i budowle. Poznałem w tym czasie starszego kolegę Mietka Jaszczura, który kiedyś wracając z przedszkola przyłączył się do mojej zabawy. Dzięki niemu poznałem Roberta i Wieśka Ziemiańskich (jeden starszy, drugi młodszy o rok). Zaczął się okres mej wędrówki po wsi. Stało się to moją kolejną wielką pasją. Wędrowałem po całej wsi. Wszystko było interesujące, wszystko mnie fascynowało. Chciałem poznawać ludzi i przyjaźnić się z nimi. Moja otwartość jednak napotykała na brak otwartości. Zawsze ufny i pokojowo nastawiony do świata zacząłem poznawać brutalność rówieśników. Żadną miarą nie mogłem zaakceptować brutalnego postępowania chłopaków. Może właśnie dlatego uznałem wtedy piękniejszą część naszego gatunku – dziewczyny za bardziej subtelną i godną czci. W swym okrucieństwie niedobre chłopaki kiedyś zdarli ze mnie ubranie i wtedy nawet przyjaciele okazali się tchórzami bo żaden nie stanął w mej obronie. Znosiłem to dzielnie, a czasami wściekałem się na jawną niesprawiedliwość i złą ocenę mojego dobrego serca. Nie miałem kompleksów wyższości nigdy więc nie mogłem dać się komuś we znaki swym wywyższaniem się. Na pewno bardzo wiele rozumiałem i bardzo silnie odczuwałem – w tym może tylko byłem różny. Tępiony przez innych w końcu poznałem co to własna złość. I te doświadczenia dzieciństwa nauczyły mnie, że od chłopaków i mężczyzn trzeba bardzo dużo wymagać. I tak już było zawsze. Skoro posługują się głównie umysłem i mięśniami, a mniej sercem i uczuciem to niech się sprężają i umysłowo i fizycznie by sprostać swemu człowieczeństwu. Były i koleżanki z sąsiedztwa. Byli kolejni koledzy (młodszy o rok) Marek Skiba, Bogdan Jabłoński i inni. Bawiliśmy się bardzo dużo razem. Graliśmy w kiczki, rwali jabłka, odwiedzali jakieś stare zagrody, chodzili nad rzekę. Najwięcej czasu spędzaliśmy w niewielkich zagajnikach (tzw debrzach) i na starej cegielni, która była miejscem wielu odkryć i niezliczonych zabaw - chociaż nie było to bezpieczne. Dziś jest nie do pomyślenia aby dzieci mogły być takie swobodne jak dawniej. Po prostu było nas wszędzie pełno. To w jednym domu to w drugim. To na tej czy tamtej łące; w tym czy w innym zagajniku. Dziecięca bogata wyobraźnia umożliwiała nam wymyślanie różnych zabaw. Najczęściej bawiliśmy się w strzelanego, w Indian, w Zorro co było inspirowane telewizją, w której zazwyczaj tematyka była wojenna i westernowa. Graliśmy w piłkę, w karty i bardzo często w tzw kiczki (ciekawa i zajmująca sprawnościowa zabawa dwoma kijami, krótkim i długim). Latem spędzaliśmy dużo czasu nad rzeką Stobnicą na naszym kąpielisku. Szybko nauczyłem się pływać pieskiem dzięki 'pomocy' dwu starszych kuzynów i sąsiada, którzy wrzucili mnie do wody i nie pozwalali dopłynąć do brzegu. Opiłem się wody strasznie ale pozbyłem się jakichkolwiek oporów przed wodą. Przyszło przedszkole. Czułem się na początku skrępowany czterema ścianami ale w końcu jakoś się przyzwyczaiłem. Zresztą uczęszczałem 3 lata. W przedszkolu poznałem znów kolejnych fajnych kolegów i koleżanki. Zacząłem się uczyć czegoś więcej niż sama zabawa co również zaczęło mnie fascynować. Najgrzeczniejszy pewnie nie byłem. Musiałem czasami dać Pani w kość bo pamiętam, że kilka razy sam lub z kolegami lądowałem w ciemnym przedsiionku (przejściu pomiędzy salą przedszkola i mieszkaniem dyrektora). Rodzice nie dawali mi jeszcze wtedy zbyt wiele pracy więc oczywiście po przedszkolu zabawy trwały nadal. Tatuś nie bił mnie. Raczej mamusia od czasu do czasu próbowała mnie zdzielić jakąś ścierą. Oberwałem od tatusia tylko raz. Jeździliśmy często z pewnym Panem, którego nazywaliśmy naszym Wójkiem łazikiem z czasów wojny. Łazik służył Mu do wszystkiego – do jazdy, transportu i orki w polu. Pojechaliśmy kiedyś orać z Nim w polu. Trwało to jednak tak długo, że zastała nas noc. Kolega Robert wpadła wtedy pod pług i dzięki starszemu sąsiadowi Andrzejowi udało się go szybko wyciągnąć. Wróciliśmy do Jego gospodarstwa i poszliśmy do domów. Koledzy skręcili do swych zagród a ja szedłem dalej sam. Bałem się. I widząc, że jakiś mężczyzna idzie z tyłu zwolniłem żeby iść bliżej Niego. Mężczyzną okazał się mój Tatuś. Na dzień dobry oberwałem po tyłku bo okazało się, że od kilku godzin zmartwiona rodzina szuka mnie po całej wsi. Później już nie oberwałem nigdy. Nawet jak mi się kilka razy należało to zdążyłem uciec, a gniew Tatusia mijał szybko. Człowiek był wtedy taki niewinny chociaż niestety zamordowałem z premedytacją kilka żab i jedną wronę i dopuściłem się jedynej w życiu kradzieży – zabrałem koledze samochodek, później pewnie oddałem. I te dziecięce 'przestępstwa' nękały moją wrażliwą duszę bardzo długo. Ponieważ większość czasu byliśmy w ruchu odżywiłiśmy

się skromnie. Wystarczyła nam kromka chleba posypana cukrem. Faktycznie to ja jadłem bardzo mało i zawsze byłem szczuplutki. Po prostu nie czułem zbyt dużej potrzeby jedzenia. Przebywaliśmy z kolegami bardzo dużo czasu na świeżym powietrzu do późna. Wieczorami fascynowało nas rozgwieżdżone niebo. Czułem jakąś ogromny sentyment, a nawet tęsknotę do gwiazd. Był to dla mnie piękny okres pomimo doznanej brutalności od niektórych rówieśników.

Najbardziej ukochaną dla mnie osobą był mój dziadek Antoni Niemiec, tatuś mojej mamusi. Przebywałem u Niego codziennie, bo mieszkał na górce tuż nad nami. Zajmował się rolnictwem i był stolarzem. Pracował bardzo dużo i bardzo spokojnie. Jego opowieści z czasów wojny (brał udział w I-szej i z bolszewikami) były dla mnie fascynujące. Kochałem Go bardzo za Jego spokój, dobroć, życzliwość i opowiadania. On i mamusia chcieli bym został księdzem. Obiecałem to dziadkowi i o dziwo dziś jestem kapłanem zapowiadającym Nową Ziemię i opowiadającym o Chwale Bożej (Nowym Niebie) w taki sposób w jaki kiedyś dziadek fascynował mnie swymi opowieściami. Dziadku spełniam swoją obietnicę. Antoni był spokojnym człowiekiem nawet zbyt spokojnym jak na kogoś z tak ciężkimi doświadczeniami życiowymi. Babcia i On mieli dwie dziewczynki. Siostra mamy utopiła się w gnojówce. Babcia się załamała i wyładowała w szpitalu psychiatrycznym. Gdy dziadek dostał rachunek za szpital okazało się, że nie ma tyle pieniędzy. Jeszcze na dodatek służący ograbili Go i spalili mu dom. Został więc bez domu i z długami. Długi mu w końcu w części umorzono. Zebrał materiał na nowy dom przed wojną, a budowę dokończył po wojnie. Gdzie umarła i spoczywa babcia nikt nie wie. Mamusia wychowywana była przez pradziadków. Dziadek był chory na serce. Mamusia chciała by zamieszkała z nami ale On wolał swój spokojny dom. W pewnym momencie zaczął Go odwiedzać zmarły kilka lat wcześniej przyjaciel. Dziadek w końcu zaczął nam opowiadać, że Wieszczyk (wg mamusi, mnie się wydaje, że Czech) przychodzi do Niego i staje w progu. Dziadek mówi 'siadajcie to pogodomy' i kolega wychodzi. Mamusia wtedy do dziadka 'tata pytaj się czego potrzebuje?'. Dziadek umarł wkrótce na zawał. Zdjął jednego buta przed snem, drugiego nie zdążył. W wieku 7 lat straciłem swego najlepszego przyjaciela. Ból, żal i tęsknota długo mną wstrząsały. Mimo śmierci ciała wciąż i zawsze odczuwam silnie Jego obecność.

2. Nauka życia i lata szkoły podstawowej

Lata dziecięcej zabawy skończyły się stopniowo. Przyszła szkoła. Chciano zapisać mnie rok wcześniej ale prosiłem żeby nie zabierano mnie z przedszkola. Sama myśl, że będę musiał siedzieć bez ruchu w ławce szkolnej przerażała mnie i nie wyobrażałem sobie że mogę to znieść. Niestety nieuniknione przyszło. Siedzieć w ławce szkolnej to była dla mnie tortura. Z nauką nie było tak źle. Szybko zauważyłem, że dzieci nauczycieli i ważniejszych osób we wsi są traktowane z jakąś ulgową taryfą. Na bycie gorszym nie mogłem się zgodzić i zacząłem walczyć o równe prawa. Oczywiście dawałem to po sobie poznać. Sztucznie wprowadzana nierówność szczególnie mnie drażniła. Pojawiła się ambicja co pchnęło mnie do zdobywania wiedzy by te dzieci, które były 'ważniejsze' nie zdystansowały mnie. Oczywiście pojawiały się chwile tęsknoty za dziecięcą wolnością. Kiedyś w dniu dziecka młodsze klasy były w kinie na jakiejś bajce. Starsze szły po południu na Winnettou. Nie mogłem przepuścić tej okazji. Ale za późno się zdecydowałem aby wyjść z klasy i w trakcie wychodzenia weszła Pani nauczycielka. Zapytała zdziwiona dokąd idę. Oznajmiłem, że do kina. Ominąłem Ją i wyszedłem. Nie powiem, że ułatwiło mi to życie. Ale dzięki temu mogłem podsłizfować swą wiedzę bo wymagania Pani miała dla mnie duże i nigdy tych wymagań nie spełniłem. W domu zaczęły się obowiązki. Zaprzyjaźniłem się z grabiami. Robiłem powrósł przy żniwach. Pracowałem w stajni. A głównie stałem się pasterzem. Z dwoma lub trzema krowami na sznurkach szedłem wypasać miedze, a pod jesień pola i łąki. Wtedy każdy kawałek pola ornego był uprawiany więc pasło się na wąskich miedzach. Nudziło się człowiekowi strasznie. Raniuśko wstawało się skoro świt. Po południu znowu pasienie. Śpiewało się więc przeróżne piosenki. Czytało książki – przerobiłem wtedy większość tzw

tygrysów o tematyce wojennej. Zresztą kupowałem namiętnie 'Żołnierza Polskiego' jako moją ulubioną dziecięcą gazetę. Miałem zdolności artystyczne. Lepiłem w wolnych chwilach z plasteliny. Lepiłem całe armie i staczałem bitwy. Tematyka była starożytna, średniowieczna czy współczesna (II wojna). Za pole bitwy służyły kwiaty w doniczkach na okiennym parapecie. Ilość wojska i wszelkiego oręża, które powstało i umarło w moich rękach było ogromne. Byłem prawdziwym stwórcą i niszczycielem światów. Moje marzenia sięgały gwiazd i pięknych światów. Widziałem te światy w swej wyobraźni tak jakby naprawdę istniały. I często w marzeniach żyłem życiem tych światów. Pracując w polu z silnym bólem zatok dla uśmierzania bólu stwarzałem piękne światy i tam przebywałem. Straszliwe bóle zatok wymagały bym chociaż na chwilę mógł się oderwać od pracy połączonej z ciągłymi bólami i dlatego kształtowałem wyobraźnię co przynosiło ulgę. A do choroby zatok doszło prozaicznie. W ciąży mamusia była chora na zatoki i to przyczyniło się do tego, że będąc płodem przejąłem jakąś małą odporność na zapalenie. Ponadto od dziecka miałem nagłe gorączki. W drugiej klasie z głupoty z kolegami w czasie upałów silnie zgrzani po gonitwie wylaliśmy sobie po wiadrze zimnej wody na głowę co skończyło się u mnie poważnym zapaleniem zatok trwającym całą podstawówkę. Zapalenia, nagłe napady gorąca i osłabienia towarzyszą mi całe życie. Tak więc choroba zatok bardzo mi pomogła w rozwijaniu zdolności artystycznych, w zwracaniu się do literatury i kształtowaniu wyobraźni. Oczywiście leczono mnie i jednocześnie nawet lekarz nie za bardzo wierzył, że tak młody człowiek może mieć kłopoty z zatokami. W ostatnim stadium bóle były tak ogromne, że nie byłem w stanie zrobić kroku i dostawałem halucynacji. Jakies okręgi i beczki toczyły się na mnie małe, coraz większe, ogromne, gigantyczne. Zamykałem oczy to samo. Otwierałem to samo. Po egzaminach do średniej szkoły wylądowałem na stole operacyjnym. Lekarz stwierdził, że w ostatniej chwili bo pożyłbym co najwyżej kilka miesięcy. Ta moja wyobraźnia skierowała mnie w końcu na kilka lat do studiowania literatury fantastyczno-naukowej i fantazy.

Urodził się braciszek Zenek. Doszedł obowiązek opiekowania się młodszym bratem. Niesamowity był z Niego dzieciak, bardzo żwawy i straszliwie silny w przeciwieństwie do mnie. Jako niemowlak wymachiwał butelką jakby nic nie ważyła. Wszystko było OK. do momentu gdy w wieku około 4 lat napił się hemolaku do malowania podłóg. Tatuś akurat w ten dzień pasł krowy gdzieś z dala od domu. Mamusia narobiła paniki więc biegiem lecieliśmy po tatusia. Wziął Zenka na ręce pobiegł złapać jakiś samochód i zawiózł dziecko do szpitala najszybciej jak się dało. Uratowali Go ale od momentu wypicia trucizny do wypompowania żołądka minęło dość dużo czasu. Nawet przypuszczaliśmy, że Zenuś przeżył śmierć kliniczną. Gdy wrócił okazało się, że z aniołka stał się dzieckiem trudnym. Był złośliwy i często byłem zmuszony toczyć z nim wojny bo nie dało się go obejść spokojnie. Zawsze się gdzieś pojawiał i miał sto pomysłów jak zawałczyć. Między nami później jakoś się ułożyło ale zaczęło się jego wchodzenie w niedobre towarzystwo. Okres przygotowania do Komunii Świętej przez katechetę o pięknej duszy Księdza Bednarza bardzo mocno wzmocnił moją miłość do Jezusa. Byłem zafascynowany Jezusem i męczennikami za wiarę. Marzyłem aby być takimi jak Oni. Po pierwszej komunii Świętej zostałem ministrantem. Lubiłem wstawać rano i często służyłem do Mszy Świętej. Szybko zostałem też lektorem. Czytanie Pisma Świętego było dla mnie wyróżnieniem chociaż byłem zawsze dosyć nieśmiały i tremę przeżywałem zawsze. Szczególnie tuż przed wejściem. Gdy czytałem czułem spojrzenia ludzi na mnie i powodowało to lekkie emocje i wtedy każde czytane zdanie wydawało się wtedy jakby dużo silniejsze niż czytane w zakrystii. Stwierdzałem, że jednak do publicznych występów to się nie nadaję. Mimo tego również w szkole często brałem udział w akademiach i występowałem z różnymi wierszykami i przedstawieniami. Należałem do zuchów i angażowałem się w kółka pozalekcyjne. Na eskaesie graliśmy w niskiej sali w piłkę szwedzką – kopaliśmy piłkę podpierając się na rękach. Brałem udział w kółku technicznym i fizycznym. Szczególnie fizyka bardzo mnie interesowała. To zainteresowanie wzrosło gdy Pan Nogaj sprowadził się do Bliznego. Nim się sprowadził do swej rodzinnej wsi już w 7-jej klasie uczył kilku z nas obsługi projektora filmowego. Film był moją pasją. Od wczesnego dzieciństwa nawet dwa razy tygodniowo byłem w kinie. Wtedy do każdej wsi przyjeżdżali często filmowcy z objazdowym kinem. Filmową atmosferę sali Domu Strażaka pamiętam do dziś. Duży

ekran zawsze mnie przyciągał. Dlatego dziś wciąż preferuję kino bardziej od telewizji. Moja fascynacja kinem była ogromna. Do książek, służenia do mszy, artystycznych zmagani, nauki i pracy w gospodarstwie dołączyło więc kino. W piłkę grałem niewiele bo już nie starczało mi czasu a i choroba często mi to uniemożliwiała. Po śmierci Księdza Siuty przyszedł nowy proboszcz Stanisław Wawrzukowicz (jest proboszczem do dziś). Był dosyć wymagający dla parafian i czasami dość nerwowy. Może i wyszło im to na dobre. Pamiętam jeden epizod jak bodajże nawet przed pasterką ubierając się do Mszy Świętej usłyszał śpiew pijaków na polu. Wpadł w ornacie. Gdy tamci Go ujrzeli szybko wytrzeźwieli i trzymchnęli. Z wiekiem zrobił się znacznie spokojniejszy bo i choroby go nie oszczędzają.

Niesamowite wrażenie robiło na mnie gdy odbywały się uroczystości na wzgórzu Świętego Michała Archanioła od wieków opiekuna wioski. Mnóstwo ludzi wszelkimi ścieżkami wspinało się pod górę. Wyglądało to tak jakby mrówki wspinały się na kopiec. To wspinanie się na wzgórze miało w sobie jakiś symbol i nikt nie mógł pozostać obojętny na taki obraz. W siedemnastym wieku na wzgórzu istoty ze skrzydłami na biało ubrane wyzwoliły z jasyru kilkudziesięciu wieśniaków. Przypisano to wojskom anielskim pod wodzą Archanioła Michała. Od tej pory kult archanioła był bardzo silny. Powstał klasztor franciszkański – przez zaborców zlikwidowany. Archanioł chronił wioskę w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Obecnie jest na wzgórzu kaplica do której prowadzi od kościoła asfaltowa i żwirowa droga wzdłuż której mają być wybudowane stacje drogi krzyżowej. W połowie wzgórza niedawno wybudowano żeński klasztor Wspólnoty Niepokalanej Matki Wielkiego Zawierzenia. Wiele osób odbywa tu swoje rekolekcje. Już kiedyś pisałem o legendzie czy przepowiedni, że w Bliznem nie będzie nowego kościoła aż do końca czasów. Dziś kościół jest bo stary drewniany z XIV wieku był za mały na tak dużą wioskę. Nie udało się wybudować kościoła ani przed pierwszą ani przed drugą wojną. Dopiero udało się to przed końcem XX wieku. Kościół konsekrowano w 2000 roku. Po wojnie dzięki wskazówkom w śnie odnaleziono figurę Matki Bożej Pełnej Łaski, która w starym kościele była w bocznym ołtarzu, a w nowym jest w głównym ołtarzu. Jest to przyciągająca pięknem figura w stylu szkoły Wita Stwosza. Przed tą figurą modlił się kardynał Karol Wojtyła tuż przed wyborem na stolicę Piotrową.

Odmawialiśmy w domu codziennie wspólny różaniec. Modlitwa zresztą do dziś widzę jest u mamusi podstawą co bardzo mnie cieszy. Może właśnie dlatego kiedyś po śmierci nasza sąsiadka przyszła do mnie prosić o modlitwę. Obudziłem się a Ona stoi przy moim łóżku. Tylko poprosiła o modlitwę i odeszła. Oczywiście modliliśmy się za nią przez dość długi czas. Później modlitwa za zmarłych i kontakt z Nimi stały się dla mnie czymś naturalnym. Tym bardziej, że pamięć mojego kochanego dziadka wciąż była i jest u mnie świeża.

W szkole było bardzo różnie. Nowi przyjaciele, szczególnie Wiesiek Jarosz, Wiesiek Częczek i Krzysiek Zając zawsze byli przyjacielscy i trzymaliśmy się razem. Z innymi było różnie. Nawet z kilku się biłem. W tym wyjątkowo musiałem stawiać czoła tym, którzy w dzieciństwie mnie źle potraktowali. Kiedyś pobitem się z młodszym. On zaczął i co gorsza nie chciał skończyć. Był słabszy i oberwał ale był tak zawzięty, że musiałem wsiąść na rower i odjechać aby Go nie zabić – bo gość nie miał zamiaru ustąpić. Kiedyś pobitem dwu na raz bo się ze mnie naśmiewali. Była i koleżanka, która była tak dokuczliwa, że kilka razy dostała klapsa. Była to jedyna dziewczyna, na którą podniosłem rękę. Mieliśmy w klasie bardzo wesołego kolegę Leszka Surowca. Wymyślał i opowiadał kawały. Sypało się mu to jak z rękawa. Ja z kolei miałem nieopanowany śmiech. Gdy mnie coś rozśmieszyło prawdziwie to śmiałem się do upadłego. Leszek to potrafił rozśmieszyć. Kiedyś na lekcji chemii opowiedział kawał. Zaczęliśmy się śmiać. A Pani akurat pytała jakąś osobę. Tej osobie odpowiedź szła dość ciężkawo. Pani odwróciła się do nas. Wszyscy przestali się śmiać ja nie. Pani tak się wkurzyła, że śmieję się z kogoś kto nie umie, że żadne tłumaczenie na nic mi się nie zdało. Miałem od tej pory 'przechlapane' i dzięki temu mogłem się podciągnąć z chemii i biologii – bo Pani uczyła nas też biologii. Kiedyś rzuciłem kulką mokrego śniegu w Leszka i niechcący dostał w buzię. Tak się na mnie zezłościł, że z półtorej roku toczyliśmy kilka razy walki. Ostatnia walka była przed punktem katechetycznym. Biliśmy się jak zapaśnicy. Zdarliśmy z siebie trochę ubrań i tarzaliśmy się na ziemi. Na to nadszedł katecheta i patrzy. Chciałem przestać ale Leszek nie rezygnował. Więc walka trwała dalej. Gdy w końcu opadliśmy z sił to katecheta z

podziwem i śmiechem stwierdził, że to nas powinni wysłać na Olimpiadę do Moskwy. Oczywiście najsilniejszy był Zbyszek Dydek wnuk starszej siostry mojego tatusia. Zbyszek mówił do mnie wujek. Był tak silny, że powalał kilku kolegów na raz. Jego siła była efektem ciężkiej pracy w polu od wczesnego dzieciństwa. Niestety później podupał na zdrowiu. Graliśmy w nożyki wbijając różnymi technikami w ziemię i zakreślając swe obszary z ogromnego koła. Graliśmy w to i na przerwach w szkole. Nauczyciele zaczęli to tępić. Kiedyś Pani wychowawczyni (polonistka) wyczytała wszystkich, którzy mieli nożyki. Postawiła przed klasą i kazała oddać. Chłopaki wyciągali nożyki ze skarpetek. Ja stwierdziłem, że nie będę się wygłupiał przy klasie i nożyka nie wyciągnąłem. Po przerwie Pani wpadła i nożyk musiałem oddać – ktoś mnie jednak podkablował. Nożyk z opisem mojej winy wylądował w szafie i wszyscy mogli to oglądać. Oczywiście z polskiego też się podciągnąłem. Bardzo odpowiadała mi literatura bo ją lubiłem więc częste wywoływanie do odpowiedzi poskutkowało tym, że sam się zgłaszałem jak najczęściej. Podciąganie się z ortografii szło mi ciężko i ciężko to też znosiłem bo nie przemawiało to do mnie. Czytałem z fascynacją lektury szkolne i literaturę dla młodzieży. Szczególnie poruszony byłem Sienkiewiczem. Jego dzieła wciągały mnie tak, że nawet nie jadłem i nie spałem dopóki nie skończyłem czytać. Nie będę ukrywał, że i naryczałem się przy czytaniu tak pięknych rzeczy. Zafascynowany byłem matematyką i fizyką. Matematyczkę mieliśmy malutką ale strasznie nerwową. Nauczyła jednak każdego. Metody miała okrutne ale w prawie 100 % skuteczne. Gdy delikwent stawał przed tablicą i się zaciął zdielala go linią lub cyrklem ze śrubą w tyłek. Delikwent coś sobie przypominał i pisał. Gdy się zaciął procedura się powtarzała tyle razy aż zadanie zostało rozwiązane. Ona udowadniała, że wiedzę można wbić do głowy przez tyłek. Jej mąż też uczył matematyki. Był jednak jej przeciwieństwem i uczniowie z klas b matematyki nie umieli w przeciwieństwie do uczniów z klas a. Myślę, że większość była wdzięczna Pani Uzarowej za tak skuteczną naukę. Ja nie oberwałem nigdy bo po prostu matematyka była mi bliska. Pan Nogaj uczył nas fizyki i robił to tak pięknie, że fizyka wydawała mi się królową nauk. Chodziłem na kółko fizyczne i brałem udział w konkursach. Dzięki takiemu konkursowi miałem ułatwioną drogę do LO na profil matematyczno-fizyczny. Nauczyciele mieli znacznie więcej możliwości karania uczniów wtedy aniżeli dziś. Nikomu to na złe nie wyszło. Pani od pracy techniki była dość potężną kobietą i jeśli ktoś przeskrobał to biła otwartą dłońią w twarz tak, że niektórzy zaliczali deski. Nasza klasa była dosyć spokojna ale chłopaki z b o rok młodszej dostawali regularnie. Mieliśmy Pana od muzyki, który był nieporuszony. Nawet co bardziej pomysłowi podkładali Mu pinezki i szpilki na krzesło. Nie ruszało człowieka nic. Ale kiedyś gdy rozstroili Mu kamerton do strojenia skrzypiec wściekł się prawdziwie. Nie było wesoło bo spowiadali całą klasę i nawet już nie pamiętam czy ktokolwiek się w końcu przyznał czy też nie. Podstawówka dobiegała końca. Egzaminy do LO i apogeum choroby zatok nadchodziły. Bardzo mgliście pamiętam egzaminy bo ból był nie do wytrzymania. Kilka dni po egzaminach znalazłem się na stole operacyjnym. W szpitalu poznałem piękną dziewczynę i zakochałem się. Wcześniej podkochiwałem się w koleżankach lecz teraz wzięło mnie na dobre. Dużo spędzaliśmy czasu ze sobą i wciąż rozmawialiśmy. Po szpitalu nasze drogi się rozeszły. Poważnie w podstawówce byłem jeszcze zakochany w dwu dziewczynach w Halince, która mnie nie chciała i w Marysi, do której nie miałem śmiałości. Generalnie byłem dość kochliwy i często moje serduszko potrzebowało żywiej bić. Po prostu dziewczyny bardzo mi się podobały.

3. Szkoła średnia, młodość i rozwój

Po operacji z jeszcze opuchniętą twarzą, słaby, schorowany stanąłem wśród pierwszoklasistów LO. Zauważyłem, że jak w swej wsi byliśmy dość podobni tak teraz ludzie znacznie się różnią. Z różnych środowisk. Skromni i mało skromni. Cisi i głośni. Pokorni i zarozumiali. Oczywiście należałem do spokojnych i skromnych, a umiejętności fizycznych nadzwyczajnych nie posiadałem. Dało się to we znaki od początku. Jeszcze przed egzaminami jeden brzozowski huligan większy dwa razy ode mnie zaczął mnie tarmosić gdy z bratem szwagra poszliśmy na automaty. Kopnąłem go z całej siły w

golenia i oddaliliśmy się nim się pozbierał. Oczywiście jego i następnych spotkaliśmy na swych drogach w szkole średniej. Unikałem ich jak mogłem ale oni zastępowali mi drogę i dokuczali. Jeden chodził z nami do LO. Kiedyś w kinie w czasie seansu dla LO uparł się, że siedzę na jego miejscu i mam się wynosić. Rzecz jasna, że się nie wyniosłem. Zaczął mnie gość prześladować wraz z kolegami. Wychodziłem z ciężkiej choroby a tu jak szakale goście się przyczepili. Wtedy akurat wszedł na sceny kin Bruce Lee w 'Wejściu smoka'. Każdy chciał być sprawny i umieć walczyć. Sekcje karate powstawały jak grzyby po deszczu. Mnie nie było stać na to by dojeżdżać i płacić za sekcję więc ćwiczyłem sam w oparciu o popularne wtedy książeczki wydawane przez mistrzów Shotokanu. Ćwiczyłem bardzo zaciekle. W piwnicy na klepisku. Biegałem do pobliskiego lasu i tam lubiłem ćwiczyć w małym zagajniku. Szczególnie było przyjemnie ćwiczyć gdy promienie słońca przeświecały przez soczystą zieleń. Byłem wytrwały ale brakowało mi nauczyciela więc ćwiczyłem tak jak potrafiłem. Zrobiłem sobie worek ze starego gumoleum, napchałem szmatami i piaskiem i biłem w to ile weszło. Byłem dość słabowity ale im więcej ćwiczyłem tym więcej przybywało mi siły. Potrafiłem przyjść od żniw i nim mamusia przygotowała posiłek ja już zdążyłem odbyć krótki trening. Stworzyliśmy grupę i przejęliśmy od starszych kolegów spektakl kolędowy. Spektakl był dosyć długi. Główna akcja toczyła się wokół postaci króla Heroda i Trzech Króli. Rodzina święta nie występowała. Jedynie było jeszcze wojsko, anioł i diabeł, dziad i śmierć. Nie pamiętam obecnie szczegółów przedstawienia ale było to pouczające. Ja byłem Herodem bo rola była najdłuższa. Na końcu przedstawienia śmierć, którą odgrywał Boguś Jabłoński ucinająca mi głowę. Gdy teraz się patrzy na to co reprezentują kolędnicy to aż żal patrzeć. Dawniej zebranie piątek było ważne ale najważniejsze było aby poruszyć oglądających. Przez kilka lat chodziliśmy w okresie świątecznym po weselach i po domach prywatnych. Wszędzie nas zawsze chętnie przyjmowano bo i ludzie byli wtedy bardziej otwarci i mniej materialni. A poza tym robiliśmy wrażenie na oglądających. To co dziś prezentują kolędnicy to jest żalosne zebranie, a nie poruszanie serc. Szkoda, że tak piękne tradycje umierają, a ludzie się tak zmieniają. Wolałbym trzy duże grupy kolędników z takim spektaklem aniżeli całe tabuny zbieraczy grosza. Ja rozumiem, że dla wielu jest to dyktowane naprawdę ciężkimi warunkami ale nie ma się co oszukiwać, że nie jest to wychowawcze. Przyjmuje się dziś kolędników ale nie ma w tym co prezentują żadnego życia i sztuki.

Zaczęło się też chodzenie na dyskoteki. Rytm piosenek tamtych lat były bardzo porywające. Tańczyć umiałem bo już w podstawówce obtańczałem wszystkie panie na licznych w owym czasie weselach, a i w szkole trafiały się zabawy. Oczywiście tańczyłem dzięki temu, że siostry mnie nauczyły. Również wymagały abym przy powitaniu całował panie w dłoń. Długo to robiłem i dopiero gdy nadeszły nowożytnie czasy i wiele kobiet zaczęło się przed tym bronić zrezygnowałem i zdarza mi się to rzadko. Dyskoteka była tak pociągająca, że nawet gdy skończyła się ciężka robota w polu to najpierw myślałem, że już się nie wybiorę bo jestem zbyt wyczerpany. Ale brałem kąpiel. A po kąpiel wiadomo – człowiek jak młody bóg. Siły wracały i szybko biegłem na dyskotekę by tańczyć do upadłego. Aż cały od stóp po czubek głowy byłem złany potem. Tańczyłem z dziewczynami i sam. Kiedyś byliśmy na weselu i zaglądaliśmy na dyskotekę. Żadna nie miała ochoty ze mną tańczyć. Wtedy się poważnie wkurzyłem 'nie to nie'. Przez ponad rok bawiłem się sam. Wtedy właśnie poczułem, że taniec może tak uskrzydlić, że człowiek zapomina o bożym świecie. Wcześniej dużo tańczyłem lecz dopiero wtedy zauważyłem ten niesamowity efekt. Zabawy i dyskoteki to była wtedy częsta sprawa. Tak jak w podstawówce zakochiwałem się wtedy często i gęsto ale jak szybko serce moje zaczynało żywiej bić tak samo szybko stygło. Po roku przyszła do LO moja miłość ze szpitala. Piękna była cały czas ale przytyła i to było na Jej niekorzyść bo ja gustowałem w szczupłych. Zostaliśmy dobrymi znajomymi i od czasu do czasu po prostu gadaliśmy, czy też zatańczyło się kilka kawałków na dyskotekę. Zakochiwałem się w swoich klasowych koleżankach. I w końcu zakochałem się w dziewczynie, która jeździła tymi samymi autobusami. Zakochałem się straszliwie. Była piękna i miała długie blond włosy kręcone w loczki. Dawało to jakiś anielski efekt. Serce biło żywiuteńko na samą myśl o niej. A gdy ją spotykałem to omal nie wyskoczyło z klatki piersiowej. Byłem trochę nieśmiały więc zacząłem szukać po kolegach, który ją zna aby jakoś nawiązać kontakt. Dziś nie miałbym

takiego kłopotu ale wtedy. W końcu po dobrych paru tygodniach dowiedziałem się skąd jest i gdzie ewentualnie można ją spotkać na dyskotekach. Zapoznanie się w tańcu piękna sprawa. Lecz ona obcięła włosy i wtedy wydała mi się zupełnie przeciętna. Serce powoli ostygło chociaż zawsze czułem do Niej ogromną sympatię. Z czasem nawet poznaliśmy się i czasami rozmawialiśmy. Były też dziewczyny, które interesowały się mną. Ale jak wiadomo 'w tym największy jest ambaras żeby dwoje chciało na raz'. Więc mogliśmy być co najwyżej dobrymi przyjaciółmi.

Czułem do dziewczyn nie tylko miłość ale i pociąg seksualny – co jest raczej naturalne. Dawniej dzieci cokolwiek o sprawach seksu dowiadywali się późno bo nie było skąd a temat był tabu. Odkryć dokonywało się więc z kolegami i samemu. No cóż instynkt był silniejszy i szybko poznaliśmy że można go zaspokoić. Gdy przyszedłem do liceum szybko się zorientowałem, że jest zaspokajany również bez poszanowania dziewczyn. Różne rzeczy się działy też i w wiejskim domu ludowym. Wtedy stwierdziłem, że ze swym popędem muszę walczyć bo słabości dać się nie mogę. Widząc również, że wielu pozwala sobie na zbyt wiele w stosunku do dziewczyn założyłem sobie też, że nie skrzywdzę nigdy żadnej kobiety i nigdy tego nie zrobię z żadną tylko z tą jedyną. Spełniło się to w pełni. Walka z samym sobą miała swoje wzloty i upadki ale nigdy się nie poddawałem. Zauważyłem, że instynkt jest tak silny, że wielu traci nad tym kontrolę i nawet niektórym grozi homoseksualizm. Nie wiem jak to jest teraz. Jeśli wtedy tak ciężkie toczyło się boje o swoją czystość to teraz zapewne jest jeszcze gorzej. No zawsze był sport, praca i dyskoteka. Być w ciągłym ruchu pomagało. Więc byłem aktywny, bardzo aktywny. W trzeciej klasie nagle zacząłem robić się jakiś słaby. Spałem bardzo dużo i rosłem. Piłem po trzy litry mleka dziennie. I przebiełkowałem się Na sam zapach mleka czasami wymiotowałem. Dopiero po kilku latach znów zacząłem pić mleko.

W szkole stosunki coraz bardziej się polepszały. Dysproporcje się wyrównywały a ludzie stawali się coraz bardziej normalni i coraz bardziej koleżeńscy. Człowiek był już na tyle silny, że huliganami tak bardzo się nie przejmował. Siedziałem z kolegą Zbyszkim Błazem w drugiej ławce. Przed nami była Anka i Wiesia a za nami Robert i Darek. Darek Knurek gdy zaczynaliśmy liceum był wyjątkowo przystojny i wyrośnięty tak, że pozostali byli przy Nim jak dzieci. Oczywiście dziewczyny się w Nim kochały, i nawet nauczycielki co poniektóre były o Niego zazdrosne co skutkowało różnymi ekscesami i tym, że wszystko co klasa przeszkrobała przypisywano Knurkowi. Smok był z Niego prawdziwy. Na długiej przerwie szliśmy we czterech kupować duże herbatniki. Darek je po prostu połykał tak, że zjadał połowę. Kiepsko wychodziliśmy na spółce z Nim. Oczywiście w LO bywały i dyskoteki. Nawet na jednej dawno znany huligan kiedyś usiłował pokazać Darkowi i mnie jak się kopie kolanem w żołądek. Duży był ale tego się nie nauczył. Wszedł na dyskotekę. Darek i ja staliśmy przy ścianie. Zauważył nas. Zawołał Darka, który rzekomo był mu winien coś - co nie wiadomo - i za tzw żywota usiłował go kopnąć kolanem w żołądek. Już byłem po dłuższym samodzielnym ćwiczeniu karate więc widząc że robi to jak łamaga zacząłem się wesoło śmiać. Wezwał mnie i znów podjął nieudolną próbę po czym troskliwie zaczął mi tłumaczyć, że on to jest taki gość, że nie należy z nim zaczynać. Przyjąłem do wiadomości i stwierdziłem, że lepiej go omijać z daleka bo z nieobliczalnym gościem to nic nie wiadomo. Na dyskotekach wtedy bójki były czymś częstym. Miałem szczęście zawsze tego unikać i nawet nie myślałem o tym, że może mi ktoś przylać. To zawsze działało. Ci którzy szukali guza zawsze go znajdowali. Nie piłem bo taką miałem zasadę. Nie piłem bo widziałem co wyprawiają chłopaki z dziewczynami gdy sobie popiją i gdy nie mają zajęcia. Różnica postaw spowodowała, że z kolegów ze wsi, z którymi utrzymywałem bliskie kontakty został tylko Bogdan Jabłoński. Staliśmy się nierozłączni. Wszędzie i zawsze razem. Pozostali uważali nas za odmieńców bo nie robimy tego co oni. Trochę ich irytowaliśmy. Zwłaszcza ja. Kiedyś na ognisku tzw sobótkach świętojańskich założyłem się z jednym, że wypiję alkohol z gwinta i po raz pierwszy wypiję i od razu przesadzę. Potem pobiliśmy się. Od tej pory strasznie mieli ochotę mnie zaczepić. Byłem tak bojowo nastawiony, że stwierdziłem, że jeśli tylko mnie tkną to zobaczą. Już wtedy trochę potrafiłem walczyć. Widzieli moją bojową postawę. Po pewnym czasie emocje opadły i goście odpuścili.

Poza ćwiczeniem trochę karate, zajęciami w szkole, dyskoteką i letnim pływaniem w rzece i na basenie niewiele się ćwiczyło. Po pewnym czasie zrezygnowałem i z rzeki bo

była tak zanieczyszczona, że dostałem grzybicy i ledwie się jej pozbyłem. Do drugiej klasy jeszcze wypożyczaliśmy narty ale później zimy ze śniegiem się skończyły. Były straszliwe mrozy przez kilka lat. Nawet po 35 stopni. Kiedyś Darek Knurek w takie mrozy chodził bez czapki. Schodziła później skórka z uszu aż paskudnie to wyglądało. Nim zimy się skończyły to kolega Tomek Cesarz zdażył złamać nogę jeżdżąc na nartach. Andrzej Bąkowski niósł go na swych plecach dosyć duży kawałek. Nauką się tak bardzo nie pasjonowałem jak w podstawówce. Jedynie uczęszczałem bardzo regularnie na zajęcia. Nawet Pan od Chemii dał mi przydomek 'żelazny student'. Samo chodzenie wystarczyło mi by być jako takim uczniem ale nie wybijałem się. Nasz wychowawca Pan Zbigniew Sawka był dobrym matematykiem. Nam trochę pobiła z racji tego, że był wychowawcą więc się to wykorzystywało. Lubiłem bardzo język polski, bo Pani Marysia (nazywana przez nas Marysieńką ze względu na bardzo drobną budowę ciała) w sposób niepojęty opowiadała i interpretowała poszczególne utwory. Byłem nią zachwycony i notowałem wszystko co mówi. Niestety moje notatki zginęły gdy je zacząłem pożyczyc. Ale dzięki tym notatkom maturę i ustną i pisemną zdałem na piątki. Lubiłem pisać wypracowania klasowe. Gdy patrzę ile teraz młodzież jest z siebie w stanie wydobyć to stwierdzam, że my tośmy się dawniej prawdziwie rozpisywali na klasówkach (nawet po 10 stron i więcej). Treść zawsze była dobra ale błędy sadiłem czasami dosyć konkretne. Wyszedł brak sentymentu do ortografii z podstawówki. Lubiłem nadal fizykę ale nauczyciele od fizyki tak się często zmieniali, że odpuszczaliśmy sobie ten przedmiot jeśli się tylko dało. Dopiero przed maturą i egzaminami na studia zacząłem się spręzać i wtedy okazało się, że jednak coś potrafię. Z panią od rosyjskiego jakoś trudno mi się było dogadać. Podobnie było z francuskim. Pani Dudowej nie przypadalem do gustu. Miała zwyczaj pod koniec półrocza męczyć tych, którzy byli zagrożeni. Mnie zawsze wychodziła trójka. Gdy Pani zliczała oceny brała się swym zwyczajem za skronie i stwierdzała; 'Skiba tobie znów wychodzi trójka i nie mogę cię dopytywać'. Nie dałem jej tej satysfakcji. To bezinteresowne nielubienie trochę mnie denerwowało więc celowo się nie uczyłem – a szkoda. Nie odpisywałem nigdy poza czterema razami; w LO 1x z francuskiego, 1x z geografii i na studiach 1x z matmy bo matematyk uznawał tylko trzymanie się jego teorii [straszne] i raz na geologii tabelę stratygraficzną ze ściagi na której były tylko pierwsze litery. Gdy prowadzący zauważył ściągę i mnie wyrzucił po chwili mnie wezwał z zapytaniem 'co to jest'. Mówię 'ściąg'. 'Tak to siadaj pan i pisz dalej' [bez ściagi rzecz jasna]. Gdy odpisywałem wtedy na francuskim ściagi miałem pod kartką. Pani Wiktoria chodziła po klasie i zaglądała co piszemy. Stanęła przy mnie. 'Jeśli podniesie kartkę to będą jaja'. Podniosła. „Skiba ty oszuście” rozległ się jej tryumfalny krzyk. Historia była dosyć luźnym przedmiotem do czasu pojawienia się w naszej klasie Pani Borguli. Wszystkie klasy drżały przed Nią. I poszedłem na pierwszy ogień jak to zwykle. Powiedziałem co wiem ale okazało się, że wiem za mało. Zacząłem zerkać do książki. Kazała zamknąć. Koledzy otworzyli swoje i zaczęli podpowiadać. Kazała mi przyjść do mapy. Tu udowodniła mi moją kompletną niewiedzę. Od tej pory bardzo się pilnowałem bo wiedziałem, że żartów nie ma no i podpadłem jako pierwszy. Pod koniec LO przejął nas na jakiś czas mąż Pani Marysi Pan Kozubal. Był temat powstania warszawskiego. Kolega Mariusz Bieńczyk siedział w tematach historycznych i zaczęła się twarda polemika na temat celowego zatrzymania frontu przez Rosjan żeby powstanie się wykrwawiło (tylko bodajże VI dywizja polska usiłowała dokonać przeprawy). My popieraliśmy Mariusza historyk był sam. Czasy komunizmu tuż po stanie wojennym, okres nieustających reform. Ileż on się natrudził żeby nas przekonać a my swoje. Mariusz uparty a my z nim. Facet się wściekł. Latał po klasie na swych butach z dorabianymi podeszwami (żeby być wyższym) jak najęty. Rzucił krzesłami. Gdy wyszedł zaczęliśmy Go naśladować. On stał pod drzwiami i słuchał. Po chwili wpadł do klasy i dalej awantura. Oj kosztowało niektórych bronienie dobrego wujka. Wielu robiło z siebie wtedy błaznów. Nawet nasz wychowawca, którego bardzo lubiliśmy rehabilitując się przed władzami z wcześniejszej działalności w NSZZ Solidarność każdego kto nie był zapisany do harcerstwa zapisał bez gadania do ZSMP. Musieliśmy chodzić na zebrania z dyrektorem Kazimierzem Kozubalem delegatem na któryś tam zjazd partii. Jednak nie za bardzo okazaliśmy się pożądanymi na tych zebraniach bo momentami traktowaliśmy to jak dobry kabaret. Więc zebrania szybko umarły śmiercią naturalną. Niewiele można było takiej

młodzieży przekazać ideałów komunistycznych. Chociaż propedeutykę Pana Wiatra musieliśmy na maturze zdawać. Nawet nie było to takie złe bo poznaliśmy dokładnie sposób funkcjonowania państwa wg wzorca komunistycznego. Wszyscy byli już tak udręczeni stanem wojennym, strajkami i ciągłymi reformami, że każdy oczekiwał kiedy ten cały komunizm się zawali i nadejdzie złota wolność demokracji zachodniej. Nikt nie wiedział jednak, że wszystko ma swoje dobre i złe strony. Raz wybraliśmy się w dzień wagarowicza na węgry. Co się wtedy działo. Ściągnięto rodziców z rady rodziców i odnaleziono nas. Potem trwały bezskuteczne próby ściągnięcia nas do szkoły. Odczuliśmy to na wf-ie. Niektórzy chłopaki płakali i prosili dość gdy Pani dawała nam wyćwikę. Zbliżał się koniec średniej szkoły. Imprezowaliśmy dość dużo. Wszystko z pełną kulturą i zawsze przy akompaniamencie gitary. Dużo się wtedy śpiewało. Przed studniówką zrobiono nam szybki kurs tańca. Dziewczyny z D były szybsze od naszych dziewczyn i pierwsze poprosiły nas byśmy im towarzyszyli na kursie. [w D były same dziewczyny u nas pół na pół 14/15]. Nie muszę wspominać, że nasze klasowe koleżanki były niezbyt zadowolone. Kurs był ekstra. Do dziś pamiętam wspaniałe wrażenie. Nasze partnerki też były świetne. Przed studniówką wysłali nas z leśnikami do lasu żeby przywieść choinki, które miały stanowić zasadniczą dekorację. W lesie drzewa wielkie więc to co leśniczy wyznaczył do wycięcia wyglądało na małe. Gdy przyjechaliśmy z tym przed salę gimnastyczną Pani od geografii chwyciła się za głowę i przerażona zawołała 'chłopcy coście takie wielgachne drzewa przywieźli !'. Fakt. Teraz wyglądały na wielgachne. Skróciło się choineczki o połowę i tak po postawieniu na sali były wysokie. Na maturę miałem iść z koleżanką z klasy Martą ale Jolce bardziej zależało na tym by iść ze mną. Zawsze spokojna Marta ustąpiła. Nawet wcześniej zastanawiałem się nad Grażynką która coś do mnie czuła ale mimo, że dziewczyna była wspaniała jako koleżanka nie czułem ja i nie chciałem jej wiązać z sobą. Okazało się, że Jolka sama nie wie czego chce. Tańczmy tak, nie tak inaczej. Na początku znosiłem spokojnie jej fochy. W końcu stwierdziłem jednoznacznie 'będziemy tańczyć tak jak ja będę chciał !'. Wkurzyła się. Dało mi to możliwość bawienia się również z innymi dziewczynami. Później impreza rozwinęła się dość nieźle bo i troszeczkę była zakrapiana alkoholem. Bawiliśmy się świetnie aż do białego rana. Poszliśmy od razu na Mszę Świętą. Zasypiałem na stojąco. Do domu dojechałem szczęśliwy i wykończony. Matura się zbliżała. Wiedząc, że w średniej szkole nadzwyczajnie się do pracy nie przykładałem zacząłem intensywnie studiować matkę i fizykę. Przerobiłem grube tomy zadań. Wiedza rosła. Okazało się, że moja pasja fizyką wróciła. Matura poszła lekko. Zdawałem polskie i pisemnie i ustnie. Pewnego razu w 3-ciej klasie nie zaprotestowałem gdy pani wpisała mi marną ocenę za klasówkę na której nie byłem i teraz musiałem zdawać ustną maturę chociaż pisemną napisałem na piątkę. Bogate notatki pozwoliły mi się bardzo szybko przygotować do tej matury. Jedno z pytań było z poezji młodopolskiej. Zabłysnąłem wiedzą na temat poezji [nie swoją tylko naszej niesamowitej polonistki]. Komisja była zachwycona. Panie stwierdziły, że pewnie będę jednym z nielicznych inżynierów którzy będą czytać poezję. Nie miałem na to czasu ale poezję czuję w sobie na swój własny uczuciowy sposób. Po maturze jeszcze odbyło się kilka imprez. Jedna jest dość pamiętna. Po ostatnim egzaminie ustnym poszliśmy do parku. Ja jeszcze w garniturze. Mieliśmy kilka win. Popijaliśmy delikatnie. Nagle hasło milicja. Wina schowaliśmy za słupem i poszliśmy z parku. A tu goście wychodzą naprzeciw i zatrzymują nas. Akurat jeden blondyn, którego wszyscy mają w sercu za ciągle czepianie się młodzieży. Prowadzą nas do parku przed dwu ludzi siedzących na ławce pytając czy piliśmy w parku. Tamci nas nie wydali. Coś pomataczyli. Wtedy blondyn bierze mnie na bok. Daje balonik. Fiolka ładnie się zabarwia. Zaczyna mnie przesłuchiwać i naciskać abym się przyznał. Straszy kolegium i czym tylko się da. To mnie już wkurzyło. Mówię, że owszem wypłem trochę po maturze, a swe straszenie może sobie schować. To go wkurzyło i zaczyna już na serio grozić. Pewnie gdyby nie świadkowie zbiłby mnie pałą. Nie mogę się nadziwić jego zawziętości. Spisują protokół i puszczają nas. Owszem miałem stracha co będą wyprawiać dalej. Było jeszcze jedno spotkanie z milicją. Szliśmy na imprezę. Wyszliśmy z monopolowego i przebiegliśmy przez ulicę. A tu stoi suka milicyjna. Wezwali nas. Wzięli dokumenty. Zbyszek nie miał podpisanej legitymacji. Doczepili się o to. Coś im mądrze odpowiedział. To ich zdenerwowało. Kazali nam iść przez przejście pod monopolowy i z powrotem. Odbyliśmy

tę drogę. Po powrocie dostaliśmy ostrzeżenie, pouczenie i puścili nas. Gdy po ostatniej klasowej imprezie – ognisku wracaliśmy w nocy do domu dużo gadałem a koledzy szli obok. Nagle patrzę a tu znów nyska milicyjna na rynku, a koledzy już dawno zwiali. Dość mieli spotkań z milicją. Spokojnie odszedłem nim mnie zauważą. Wtedy ludzie nocą na ulicy byli rzadkością i nie było siły by nas nie zaczęli sprawdzać. Zaczęły się kursy przygotowawcze na studia. Pojechałem do Krakowa na kurs. Mieliśmy tak wspaniałą rusycystkę, że w ciągu niedługiego kursu więcej nauczyłem się z rosyjskiego niż przez całą średnią szkołę. Okazało się, że wykładowcy uczelniani zupełnie inaczej tłumaczą fizykę czy nawet matematykę niż nas uczono. Byłem zszokowany zwłaszcza fizyką, którą wydawało mi się, że umiem. Zacząłem poznawać nowych ludzi. Miałem plany, że zacznę wreszcie ćwiczyć karate na jakiejś sekcji. Zauważyłem, że gro ludzi traktuje studia jako rozrywkę i okazję do nieustannego imprezowania. Nie podobało mi się to. No ale każdy sam sobie życie układa. Poznawałem i fascynowałem się Krakowem chociaż jego szarżyna bardzo była przytłaczająca. Czułem, że nadchodzi zupełnie nowe życie. To mnie przyjemnie pobudzało i cieszyło. Szło nas sześcioro na elektronikę i informatykę. Ja szedłem z nimi bo wciąż nie wiedziałem co chcę studiować. Niestety tylko ja się dostałem na automatykę. Inni zdobyli mniej punktów i musieli iść na inne kierunki. Generalnie nasza klasa była najlepsza od początku powstania LO (1909). Z 29 osób starało się dostać na studia 23 a dostało się 22. Na owe czasy był to piękny wynik. Ja się dostałem a koledzy za którymi w zasadzie szedłem nie – ładne numery. Stwierdziłem, że pewnie źle wybrałem. Nie słuchałem rodziców. Tatuś nie chciał bym studiował. Mamusia chciała bym studiował w Rzeszowie. Mnie jednak pociągał Kraków. Pracowałem na wakacjach w polu i czekałem niecierpliwie na praktykę zerową – tzw robotniczą.

4. Studia, marzenia i ideały

Praktykę zerową mieliśmy w budującej się garbarni w Bieżanowie. Nowi koledzy. Znów wiele przeróżnych charakterów – diametralnie odmiennych. Trzeba się jakoś przyzwyczaić do zupełnie nowych ludzi. Najbardziej polubiłem Grzesia, od którego bił spokój i dobroć oraz Adasia. Z innymi jakoś się docierałem. Na praktykę dojeżdżaliśmy dość daleko. Co nam dali do roboty to się robiło. Trudno im było zagospodarować tak wielu młodych ludzi więc nie bardzo to przypominało robotę. Zauważyłem, że wszędzie są ludzie, którzy usiłują udawać, że coś robią co nie wpływa dobrze na pozostałych. Taka postawa zawsze mnie denerwowała bo nauczono mnie pracy – może nie pedantycznej dokładności ale pracy i obowiązkowości. Pracowaliśmy i bawiliśmy się. Chodziłem na dyskoteki i poznawałem nowe dziewczyny. Nieraz bawiłem się z tymi pięknościami i odprowadzałem do domu ale się nie umawiałem. Uważałem, że mam czas i kiedyś trafię na swoją. Jak dziś wspominać naprawdę były to bardzo dobre dziewczyny. W końcu trafiłem na taką z Nowej Huty nowoczesną i niezbyt urodziwą. Była z siostrą i jej chłopakiem. Coś wypiliśmy. Umówiłem się z nią. Po kilku spotkaniach stwierdziłem zbyt dużą rozbieżność charakterów. Udało się to zerwać w sposób naturalny. Raz przyszła do nie koleżanka z LO Renatka i po prostu było mi głupio wyprosić ją i na randkę się spóźniłem. Studia się zaczęły. Od razu zauważyłem, że nie będzie lekko. Wymagania niesamowite. To że trochę sobie odpuściłem naukę w LO wyraźnie teraz zauważałem. I jednocześnie chciałem ćwiczyć karate – zapisałem się na kyokushin w AZS do Darka Auguścika i do Krzyska Bożyczki do TKKF-u. Krzysiek był niesamowitym technikiem skorygował wiele moich wcześniej wyuczonych błędów. Darek był jak chodząca niepokonana maszyna. Potężny z niesamowitą siłą i kondycją. Wszyscy się go bali. Ja z kolegą jeszcze z LO Andrzejem Kusiem czasami śmialiśmy się gdy nas wykańczał morderczym treningiem. Nie podobało się mu to więc na początku nas tępił. W końcu się do nas przekonał gdy zrobił po feriach morderczy test fizyczny i zostało się nas tylko 12 ze 100. Nawet nie wiem jak udało mi się ten test przetrzymać. Treningi codziennie. A tu jeszcze trzeba podtrzymać kontakty ze starymi i nowymi znajomymi. Czasowo nie wyrabiałem chociaż wciąż byłem w ruchu. Zaległości w nauce zaczęły powstawać coraz większe. Prowadzący zajęcia cisnęli bez litości bo programowo mieli odsiać ponad połowę

studentów. Twarda selekcja była więc dokonywana. Jakoś radzili sobie ludzie którzy byli laureatami licznych olimpiad i z bardzo renomowanych szkół średnich. Pozostali radzili sobie dość marnie. Moi koledzy z pokoju Staś Wszolek i Jaś Rataj też nie byli zachwyceni wysokimi wymaganiami. Im zaległości też rosły. Była zima. Ciągłe latanie spoconym po treningach spowodowało, że zatoki zaczęły mi dokuczać. Koledzy zaczęli kombinować coś w kierunku urlopu zdrowotnego, bo wiadomo było, że naukę trzeba odpuścić bo zaległości są już zbyt duże. Zacząłem chodzić do laryngologa. Miałem zaległości z matmy. Ciężko było zrobić zaliczenia. Okazało się, że egzaminy z fizyki u profesora Olesia również są ciężkie. Dwa razy wyleciałem. Drugi raz już byłem bliski zdania. Weszliśmy w cztery. Dwa pytania jakoś poszły. Goście takie głupoty gadali, że widziałem jak Oleś zaczyna się robić coraz bardziej nerwowo. A był bo potrafił nawet rzucać kredą na wykładach. W końcu wyrzucił chłopaków i mnie wyrzucił gdy zacząłem coś kręcić przy trzecim dość trudnym pytaniu. Nie poszedłem na komis, a trzeba było bo nie było Olesia. Pojechał do konsultacji przy budowie akceleratora koło Genewy. Brak zaliczeń z matmy i oblanie fizyki – tego było dość. Zatoki dokuczały i niepowodzenia tak mnie udręczyły, że się poddałem. Laryngolog stwierdziła, że nie jestem poważnie chory a ślady na zdjęciach to efekt przebytej dawniej choroby. Wysłała mnie do neurologa. Ten nie widząc zadania dla siebie wysłał mnie do psychologa i psychiatry. Psychiatra stwierdził, że on nie ma co ze mną robić więc wysłał mnie do psychologa. Tu Pani dała mi jakieś testy na inteligencję. Po tym wszystkim stwierdzono, że jestem zdrowy i na tyle inteligentny, że dam sobie w życiu radę. Kombinowanie urlopów zdrowotnych było wtedy na porządku dziennym i tak mnie potraktowano. To był dla mnie cios i udręka taka, że schudłem i ból głowy mnie nie opuszczał. Gdy w takim stanie wróciłem do domu tatuś zawiózł mnie na neurologię do szpitala i tam zostałem parę dni. Odżyłem i wróciłem z papierami załatwić urlop zdrowotny. Urlopu nie dostałem. W końcu udało się za porozumieniem wydziałów zmienić kierunek. Przeszedłem na hydrogeologię. Taki sposób zmiany kierunku później dużo mnie kosztował bo nie dostałem stypendium i przetrwałem tylko dzięki zarobionym na wakacjach pieniądзом i pomocy z domu. Geologia przyjmowała chętnie spadochroniarzy z innych kierunków. Pan dziekan Stanisław Majewski był dla studentów prawdziwym ojcem. Zadziwiający naturalny, otwarty i niesamowicie bezpośredni człowiek promieniujący dobrocią i świętością. Poznałem Józia Dziegielowskiego pod dziekanatem. Tomek Haduch kolega z LO też przenosił się z maszyn na geologię. Obaj z Józkiem szli do dziekana Majewskiego. Tomek pyta się czy jest wystarczająco ogolony. Stwierdziliśmy, że jak najbardziej. Gdy weszli Pan Majewski stwierdził, że 'na geologii jest wiele dziewczyn i trzeba dobrze wyglądać więc nie dopuszczalne jest abyś Tomuś chodził nie ogolony. A i guzik masz u koszuli oberwany'. Na to Tomek 'Panie Dziekanie musiał mi się oberwać dopiero teraz!'. „Teraz, teraz pewnie ci się tak dynda już dłuższy czas tylko nie chciało ci się go porządnie przyszyć”. Tomek był na nas wściekły żeśmy go tak wpuścili w maliny. Majewski potrafił zaszokować ale jak Ojciec przyjął nas wszystkich. Do końca roku trochę się popałęntałem w Krakowie podejmując kilka prac i twardo trenując. Był to okres strajków robotniczych i studenckich. Strajki okupacyjne i pacyfikacje były na porządku dziennym. Rozróbny na mieście. Ciągłe patrole i kontrola dokumentów. Zomo i milicja stacjonowali na stadionie 'Wisły Kraków'. Gdy przejeżdżała kolumna to studenci bili miskami i garnuszkami w parapety, gwizdali i rzucali butelkami. Częste pobicia w czasie akcji rozpędzania tłumu były normalką. Zauważyłem jak działa tłum. Gdy jakiś przywódca pięknie przemawia tłum czuje swą jedność i siłę. Staje się jak zbiorowa jedność. Gdy pojawia się panika każdy ucieka przed siebie nie patrząc na to, że tratuje innych ludzi. Byłe ocalić siebie. Tylko nieliczni w takim tłumie kontrolują siebie i zdarzenia cały czas. Emocje często brały górę i stąd pojawiały się niemądre decyzje i brutalność. Zomo naćpane biło bez litości. Lecz kilka razy dostali łupnia. Kiedyś w pierwszych szeregach poszli goście którzy zajmowali się sztukami walki, boksem, zapasami i inni sportowcy. Zomowcom ocalił życie jeden z krakowskich klasztorów wpuszczając ich za bramę gdy uciekali przed rozjuszonym tłumem. Nawet w gazecie pojawiły się podziękowania co w owym, czasie było nie do pomyślenia. Jednak rząd co jakiś czas ustępował i nawet podnoszono stypendia. Na wakacje wróciłem do domu. Tu wysłuchiwałem ciągłych kazań, że albo źle wybrałem i nie słuchałem albo, że po co mi te studia. W końcu załatwiliśmy na wrzesień robotę w Nowej Hucie przy remoncie internatu i

pojechaliśmy tam pracować. Byliśmy czwartą ekipą, która podejmowała się remontu kompletnie zdemolowanego internatu. Pozostałe ekipy odpuściły. Naszym szefem był Andrzej z Dynowa, którego wcześniej nie znaleźliśmy. Nie zgadzaliśmy się z jego pomysłami więc z Józkiem Dzięgielowskim ustalaliśmy co i jak robić i robota jakoś szła do przodu. Pracowaliśmy w farbach i rozpuszczalnikach po 16-cie godzin. Zobaczyliśmy ciekawe życie internatu w Krakowie. W parę wieczorów wypiliśmy coś bo nie było co robić i zauważyliśmy, że Andrzej nie kontroluje picia i robi się strasznie agresywny po wypiciu. Kilka razy uspokajaliśmy go ale nie bardzo to pomagało. Więc stwierdziliśmy, że nie pijemy i koniec. Pracował z nami Zbyszek Błaż i Tomuś którego wcześniej nie znaleźliśmy. Tomuś tak się obijał przy robocie, że w końcu Józio stwierdził, że wypłaci mu się część zarobionej kwoty proporcjonalnie do jego pracy. I tak pozbyliśmy się człowieka, który źle wpływał na całą ekipę. Zresztą sam sobie często śpiewał 'mam dwie lewe ręce do każdej roboty itd.'. Rok akademicki już trwał gdy udało się nam robotę oddać nie bez końcowych problemów. Studiowane na geologii było czystą przyjemnością w porównaniu z automatyką. Było dużo materiału pamięciowego ale to było do przebrnięcia. Najważniejsze, że matma i fizyka zaczęły być zupełnie normalne. Jako doświadczony student miałem poważanie i liczni przychodzili po porady i po to by tłumaczyć zadania które dostawaliśmy z matmy i fizyki do domu. Wracalem z treningu i nawet nie dawali się spokojnie wykapać i coś zjeść. W końcu przestałem rozwiązywać zadania. I tak mogłem na zajęciach jakoś je rozwiązać, a goście zaczęli samodzielnie pracować co im wyszło na dobre. Robota w rozpuszczalnikach i farbach tak osłabiła mój kościec, że po kilku tygodniach w czasie kumite dostałem w żebra i coś się stało. Na następnym treningu poprawili i naprawdę coś się stało. Wielu fizoli chodziło na karate i gdy człowieka dorwali zachowywali się jak w amoku byle do przodu i byle zabić. Gdy się na takiego trafiało trzeba było walczyć bo nie było wyjścia. Byłem i jestem szczupły więc nie mam wielu mięśni aby mnie ochraniały. Ciosy i kopnięcia często sięgały kości. Po kontuzji nie mogłem oddychać. Czułem jakby mi się żebro wbijało w płuco. Dostałem zwyrodnienia kości – okostna się wylewała i żebro spuchło. Ból był potworny. Nie szło leżeć ani siedzieć. Jedyne co mogłem to stać. I głównie stałem przez trzy doby. Chirurg okrzyknął mnie, że ćwiczę jakieś walki. Postanowiłem zmienić styl na ju-jutsu. Zapisalem się na sekcję do Michała Śliwki powolnego i wysokiego faceta. Z karate zrezygnowałem dopiero po kilku miesiącach. Ćwiczyłem więc i karate i ju-jutsu. Chłopaki ćwiczili tylko z tymi z którymi im się dobrze ćwiczyło – praktycznie w stałych parach i większość techniki tylko na jedną stronę tak jak Śliwka [z tego powodu nazywano go jednorękiem bandytą]. Uznałem to za podstawowy błąd. Ćwiczyłem z każdym i na dwie strony. Mając doświadczenie z karate robiłem szybkie postępy chociaż byłem dość sztywny i twardy [pozostałość karate]. Szybko zostałem instruktorem robiąc państwowe papiery. Zaczęłem prowadzić sekcję dzieciaków na Bronowicach w klubie 'Bartosz' i pomagałem Zenkowi Liszkiewiczowi w prowadzeniu jego zajęć w podstawówce. Mieliśmy oprócz tego swoje trenerskie treningi i zbyt częste spotkania ze Śliwką, który okazał się człowiekiem z kompleksami. Jego zdaniem on był mistrzem, a wszyscy inni w Polsce to cienkie bolki i nie wiadomo skąd mają swe stopnie. Nie wiem czy uważał jakiegokolwiek innego mistrza. To mnie wkurzało. I jeszcze miał system kar dla instruktorów taki, że za byle co była kara. Tak więc instruktorzy dokładali do tego, że prowadzą zajęcia bo w systemie jego kar ciężko było ich nie mieć. W końcu wielu instruktorów stwierdziło, że czas odejść. Na wakacjach miał być obóz w Juszczynie na którym mieli być mistrzowie hakko-ryu z Francji. Postanowiłem, że na obóz to pojedę dla samych Francuzów ale po wakacjach do Śliwki nie wracam. Pojechaliśmy z Władziem Grodniewiczem. Poinformowałem Śliwkę, że przyjechałem tylko na okres pobytu Francuzów. Był zły i nie pozwolił nam rozbić namiotu w obozie. Rozbiliśmy namiot za rzeczką w niezbyt równym terenie co odczuliśmy w nocy. W końcu przyjechali Francuzi – czterech mistrzów. Śliwka wypędził liczną grupę na stadion w Juszczynie (kilka kilometrów). Francuzi szli pokornie za nim. Na stadionie zaczyna się szopka. Śliwka ustawia ludzi i zaczyna pokazywać jakieś techniki a Francuzi stoją z boku. Wszyscy są zszokowani dlaczego nie wita gości i nie pozwala się im zaprezentować tylko sam zaczyna trening. Żar leje się z nieba. Francuzi w końcu zaczynają między sobą żartować i śmiać się jak to oni. To Śliwkę zdenerwowało. Zegnał całą grupę do obozu i poszedł do namiotu obrażony po drodze skarżąc się i robiąc z siebie

ofiare. W końcu pozwolił w obozie rozłożyć materace. Okazało się, że pod gołym niebem nawet jeśli słońce jest za chmurami i tak nie da się wejść na materace bo parzą stopy. Tego było dość. Zenuś załatwił jakiś transport. Spakowało się materace i pojechaliśmy z Francuzami ćwiczyć do Krakowa. Ćwiczyliśmy w około 30 osobowej grupce. To był piękny czas. Byliśmy zachwyceni nową sztuką i niesamowicie wysokim poziomem umiejętności Francuzów. To było to czego szukałem. Sztuka bardzo bolesna ale piękna i wymagająca dużo pracy. Za dnia się ćwiczyło. Wieczorami imprezowało. Czas przeleciał szybko. Francuzi zaproponowali współpracę i ćwiczenie hakko-ryu. Po wakacjach zaczęliśmy samodzielne treningi w oparciu o to co się nauczyliśmy. Ja już do Śliwki nie wróciłem tak jak postanowiłem. Zenuś rozstał się z nim również po prostu wychodząc z jednego ze spotkań i tym kończąc kontakt ze Śliwką. Spotkałem go kilka razy na ulicy. Udawał że nie poznaje. Przez rok ćwiczyliśmy po dwa razy tygodniowo i planowaliśmy wyjazd do Francji. Pracowaliśmy z Józkiem w zieleni miejskiej, myśliśmy szyby, nawet zacząłem sprzedawać ciuchy indyjskie (kiepsko to szło). Jakoś w końcu zbierałem drobną kwotę. Jednak z wyjazdu nic nie wyszło bo Francuzi nie mogli nas wszystkich przyjąć. Ponieważ przyszła miłość mego życia niemożność wyjazdu do Francji była punktem zwrotnym. Studia na geologii wiązały się z koniecznością częstych wyjazdów na praktyki więc forsa była potrzebna. Zarabiano się w spółdzielniach studenckich. Stypendia też były dość wysokie [dochodziły do tego naukowe]. No i zawsze dostawało się coś z domu. Wystarczało więc jakoś na wszystko na styk. Ludzie wtedy byli biedniejsi ale nie było takiego przerażenia niepewnością jutra jak to dziś dotyka wielu ludzi i wiele środowiska. Z tego względu, że dopiero coś takiego jak brak pracy – bezrobocie wchodziło powoli do naszego słownika i w sferę naszych bolesnych doświadczeń. Studia to był okres niesamowitej wolności. Miałem bardzo wielu znajomych. Gadało się z ludźmi na uczelni, w stołówce, w akademiku, na imprezach, dyskotekach Tylko niektórych znałem z imienia i nazwiska. Niektórych z imienia. A wielu było takich których po prostu znałem bezimiennie. Zawsze było z kim pogadać. Czuło się wolność i radość. Mieszkałem długo z Józkiem i Mirkiem Ciszkiem. Bardzo dużo radości dostarczał nam Józio Dzięgielowski. Ciągłe trzymały się mu głowy kawały i potrafił robić ludziom takie numery, że zawsze było wesoło. Gdy ktoś robił kawał jemu znosił to gorzej. Charakter miałem odmienny więc razem uzupełnialiśmy się. Chodziliśmy wspólnie na imprezy, do dziewczyn, na dyskoteki, do kina, na basen, na uczelnię, na miasto razem na wiele praktyk terenowych. On dużo i śmiesznie mówił, znał mnóstwo kawałów ja go w tym uzupełniałem. Czas mieliśmy ściśle zaplanowany. Wstawaliśmy wcześniej i potem był ściśle określony czas na zajęcia, treningi, naukę i rozrywkę. Ze względu na tę dyscyplinę musieliśmy przyzwyczaić ludzi, że o 23,30 nasz pokój zostaje zamknięty na klucz i śpimy. Ludzie smęcili się po akademiku więc nieraz do późna ktoś usiłował wejść do pokoju ale zasada stała się obowiązująca bo inaczej nocne marki nie dałyby nam wypocząć. Dobrze wspominać okres odwiedzania 5 dziewczyn z higieny na ul. Koletek. Mieszkały w budynku po byłym klasztorze i nie wolno było nikomu przebywać w budynku po 22. Raz z kolegą Andrzejem Bąkowskim (Gustawem) zamarudziliśmy trochę dłużej. Nagle dziewczyny mówią, że ich opiekunka sprawdza pokoje. Schowaliśmy się za szafą. Weszła i wyszła bo nas nie zauważyła. Nagle wpada mając w ręku nasze legitymacje, które zostawiliśmy na portierni. Nie było wyjścia. Wyszliśmy z za szafy. Wzięliśmy z jej rąk legitymacje powiedzieli dobranoc i wyszliśmy z pokoju. Stała jak wryta. Ponoć nawet niewiele krzyczała na dziewczyny. Kiedyś przeganialiśmy jakiś zboczeńców którzy niepokoiili dziewczyny wchodząc pod okna. Dużo takich nieszczęśników plątało się po parkach. Lecz nam nie było dane ich nigdy spotkać a znajome dziewczyny wciąż na nich trafiały. Nawojka też była żeńskim akademikiem. Chodziliśmy tam ze Stasiem i Jasiem a później i Józkiem Magdoniem do Jadźki i Wieśki oraz borów (dwu dorodnych panien). Kiedyś postanowiliśmy, że uciekniemy portierowi. Znalazł nas i z największym spokojem poprosił a legitymacje. Kiedyś kolegom udało się przejść bez kontroli. Po zamknięciu akademika wpadli na genialny pomysł żeby zeskoczyć na dach niższego budynku. Zeskoczyli ale kolega Jaś skręcił nogę. Gdy mieszkałem jeszcze ze Stasiem on lubił zakładać się o różne rzeczy. Zjadł 10 ptysi w króciutkim czasie prosząc o dokładkę. Wypił 9 pepsi, przy dziesiątej ze słowami 'no to zdrowie Jacek' puścił pawia. Zjadł słoik miodu i latał całą noc po parku Jordana, miasteczku i dwa razy na ostatnie piętro w Babilonie (akademik) bo

rozpierała go energia. Po tym więcej się już z nim nie zakładałem. Później chodziliśmy do 4 dziewczyn z WSP. Zawsze miło się gawędziło. Z jedną zawsze wesołą Gosią nawet wybrałem się do Austrii w poszukiwaniu pracy. Przy pierwszych trudnościach pękła i zaczęła mnie o wszystko obwiniać. Szybko z nią wróciłem widząc, że nie ma to sensu. W tym czasie Józiu pojechał do Szwecji. Mając wolne miejsce wzięli po drodze znajomą panienkę, która nie pojechała pracować tylko szukać przygód. Dała im w kość i omal ich nie wydała policji. W końcu poszła swoją drogą. Po wakacjach okazało się, że dziewczyna ta chodzi z naszym Jasiem. On był hojny i bardzo o nią dbał. Zresztą tak lubił chwalić się sprawami damsko męskimi że w końcu nazwaliśmy go 'kasanowa barów mlecznych' bo fantazję miał niezmierną. Oczywiście panienka szybko się nim znudziła. Mieliśmy kolegę Stasia Futomego kulturysta - Irena mówiła na takich jak on 'kotlet'. Staś kiedyś poderwał kubankę, ładną dziewczynę która zmieniała chłopów jak rękawiczki. Odradzałem ale chłopak się zakochał. Józio miał tematy do żartów. Oczywiście Staś w końcu się jej znudził i nawet jego usilne adorowanie dziewczyny nic nie dało. Staś był bardzo nawiedzony na punkcie tego, że kulturystyka to najwspanialszy sport. Dużo wtedy pływałem i miałem silne nogi. Zaproponowałem mu przysiady na ukośnej ławeczce z ciężarkami po boku w serii po 10. Zrobiłem serię, zrobił on. Zrobiłem kolejną, on nie dał rady. Myślę sobie 'teraz Stasiu za te twoje przechwałki masz' - zrobiłem trzecią serię. Staś zdębiał. Ledwie miałem siły żeby wrócić do akademika. Trochę przesadziłem. Fizycznie nie byłem strasznie sprawny. Ju-jitsu nie było męczące. Chodziłem więc na basen 2 razy w tygodniu. Czasami chodziło się za kogoś. Kiedyś Józiu poszedł za kolegę Jacka Kulasika. Kulasik był świetnym pływakiem Józiu się uczył. Gdy instruktor zobaczył, że chłopak się strasznie męczy zapytał jak się nazywa. Józiu, że Kulasik. Instruktor pośmiał się i stwierdził 'co się z panem stało panie Kulasik. Tak pan świetnie pływał.'. W czasie praktyki na pojezierzu lubuskim pływaliliśmy w ustronnym miejscu na jeziorze Ciecz. Józiu się uczył. Ale bał się wypłynąć poza widoczny szelf. W końcu wpadłem na pomysł. Przyciągnęliśmy długi cienki pień z lasu, wypuściłem poza molo i mówię 'płyn jak się będziesz bał to się złapiesz i przyciągniesz do brzegu'. Jeszcze nie wypłynął a już się łapie. Wjechałem mu na ambicję. Popłynął do samego końca, a ja wtedy szybko wyciągnąłem pień z wody. Nie widziałem u nikogo takiego przerażenia jak u niego w oczach. Dopłynął. I od tej pory pozbył się lęku. Kiedyś za porozumieniem z ratownikiem chodziliśmy na basen z grupą milicjantów. Pewnego razu urządzili zawody. Najlepszych ich pływaków wtedy akurat nie było. Wystartowałem i niechcący wygrałem. Wtedy się zorientowali, że nie jesteśmy milicjantami tylko studentami. Nie dało się już wejść na ich zajęcia. Na basenie generalnie było śmiesznie bo męczenie przez instruktorów tych, którzy się dopiero uczyli pływać warte było obejrzenia. Wielu przed basenem dostawało ataków depresji i nie spało całą noc. Józiu był dość otyły. Śmiałyśmy się, że 'jak Józiu zje bułkę to po nim widać'. Kiedyś na basenie dziewczyny zapytały go kiedy będzie rodzili. Tak się przejął, że dwa lata ćwiczył zaciekle karate shotokan i był bardzo szczupłutki. Biegał na kopiec Kościuszki z karatekami i kilka razy dołączyłem się do nich. Mieli chłopaki taką kondycję, że ledwie byłem w stanie dolecieć. Na wf chodziłem po to by z chłopakami ze złóż pograć w kosza. Chłopaki z hydro zazwyczaj grali w siatkę i strasznie się płatali po boisku żeby zajęcia jakoś przeleciały więc wolałem grać w kosza. Dzięki temu coś się nauczyłem bo w średniej szkole ciężko było z nauką bo chłopaki w większości z klas sportowych grali ze sobą i nie dało się przy nich niczego nauczyć. Pewnego razu postanowiliśmy wziąć udział w kursie na przewodnika turystyki kajakowej. Pół geologii się zapisało. Ale po kilku wykładach wystraszyli się tego co mówili instruktorzy. Z wodą na rzekach górskich nie ma żartów. Więc wysłuchiwaliliśmy o rozlicznych śmiertelnych wypadkach. Większość wymiękła została nas garstka geologów. Szkolenia, klejenie kajaków, praca w klubie. W końcu pierwsza próba pływania na zalewie. Okazało się, że jest problem płynąć prosto. I to poważny problem. A niektórym kajaki same się przewracały. Co będzie na górskiej rzece? W końcu wyjazd na Rabę. I faktycznie okazało się, że nie ma żartów. Woda robiła z nami co chciała. Kabina za kabiną. Złamałem wiosło. Musiałem mokruteńki biec parę kilometrów po nowe. Okazało się, że pojawił się strach przed żywiołem. Prawdziwy strach, który czujesz jak cię przenika i nic z nim nie możesz zrobić. Możesz się jedynie przyzwyczaić, że on jest. Gdy pojawił się strach ludzie zaczęli różnie reagować. Niektórzy szybko się spakowali i pod

jakimś wymyślonym pretekstem wyjechali i już się nie pokazali w klubie. Z tych co zostali kilku było odważnych i nie widać było po nich żadnego strachu. Ja się bałem ale dzielnie ćwiczyłem wszystkie techniki. Byli i tacy, którzy płynęli ale tak asekuracyjnie, że nie ćwiczyli więc się też nic nie uczyli. Najwięcej nauczyli się ci, którzy mieli najczęściej wywrotek i się nie poddawali. Później był Poprad. Padał śnieg. Było potwornie zimno. Omal się nie utopiłem. Gdy zaliczyłem wywrotek na bystrym nurcie kajak popłynął osobno chociaż uczyli nas żeby chwycić się kajaka i płynąć za nim. Wiosło płynęło za mną. Napływałem na pień drzewa leżącego w wodzie. Chwyciłem się pnia ale nurt był tak silny, że zaczęło mnie wciągać z dużą siłą pod pień. Nagle wiosło dopłynęło do mnie i zaczepiło się o fartuch. Doszła dodatkowa siła bo woda napierała na pióro i czułem jak trzeszczy mi kręgosłup. Nie ma żartów. W panikę nie wpadłem ale zacząłem chaotycznie walczyć co mnie tylko osłabiło. W końcu zacząłem się zastanawiać jak tu się uratować bo sił mi już brakowało. Nagle genialna myśl żeby centymetr po centymetrze przesuwając wiosło wzdłuż ciała. I tak robiłem w końcu woda wyrwała wiosło i byłem wolny. Ostatkiem sił wdrapałem się na pień i dopłynęłem do brzegu. Nie poszedłem już pływać. Następnego dnia miałem energię niespożyta i płynęło mi się super. Dwa tygodnie byłem przeziębiony po tym spływie i męczyły mnie zatoki. Podziwiałem zdrowie i siłę chłopaków. Stwierdziłem, że się do tego nie nadaję. Chłopaki po każdym spływie robili grzańca z miodu pitnego, naturalnego, jabłek, goździków i innych przypraw. To ratowało zdrowie – niestety nie moje. Na Dunajcu byłem jako obsługa. W końcu pojechaliśmy na 16 dni na Pomorze na pojezierze Drawskie. To było piękne. Rzeczki i jeziora – piękne jeziora. Cały czas w lesie. Tempo dość duże bo w końcu to szkolenie. Punkty w wielu kategoriach. Mieszkałem w namiocie z Tomkiem i dziewczyną której imienia w tej chwili nie pamiętam. To była zbieranina ludzi z całej Polski (turnusów było kilka). Raniutko rozgrzewka, szybkie śniadanie i 10 minut na złożenie obozu. Płynięcie i to w utrudnionych warunkach. Co dzień kto inny za przewodnika. Instruktorzy nie pomagali tylko dawali fałszywe wskazówki. Trzeba się było pilnować. Płynęliśmy bardzo duże odcinki. Na Mierzęckiej Strudze był horror. Co kawałek zwalone drzewo i trzeba było się wciąż przeprawiać brzegiem przenosząc cały sprzęt, bagaże i prowiant. Płynąłem jedyneką (byłem tzw 'elektronem') więc pomagałem innym w przeprawie. Po przepłynięciu rzeczki byliśmy wykończeni. Mnóstwo komarów i ciągła gorączka. Pewnego dnia przyjechały rano samochody zabrały obozowisko i powiedziano nam, że mamy do określonej godziny wstawić się tu i tu. Grupkami różnymi drogami i środkami transportu ludzie wyruszyli w drogę. Nieliczne samochody osobowe w tych bezkresnych lasach nie chciały się zatrzymywać. W końcu w trójkę udało się nam ciężarówką podjechać do jakiegoś miasteczka. Parę kilometrów przeszliśmy piechotą do głównej drogi i tu TIR zawiózł nas na miejsce. Byliśmy ciut przed czasem. Poczekali na pozostałych. Ktoś nie dotarł i dopiero później szukał nas po obozowiskach. Rozbijanie obozu też było na czas. Wieczorami ognisko, gitara, grzaniec, śpiew i tańce oraz kąpiele w rzekach i jeziorach. Potem zabijanie komarów w namiocie i spać. W pierwszą noc oszczędziliśmy komary to rano nie mogliśmy się poznać. Kilka osób nauczyło się wtedy robić eskimoskę – wstawanie po wywrotce kajaka poprzez opieranie pióra wiosła o powierzchnię wody i ruch biodrami i całym ciałem. Gdy się nauczyliśmy tej techniki trójkami wykonywaliśmy ten manewr wpływając do obozu. Na końcu kursu jeszcze egzamin z pływania na fragmencie rzeczki o górskim charakterze i końcowe podsumowanie punktacji. Gdy zakończył się kurs wyszliśmy z lasów nieogoleni i wychudzeni. Ciężko było się rozstać tak się zaprzyjaźniliśmy i polubili. Moja praktyka geodezyjna w Olsztynie już trwała, a ja byłem jeszcze w Stargardzie Szczecińskim. Wsiadłem do zatłoczonego pociągu i stanąłem pomiędzy wagonami. Huk niesamowity, a ja byłem bardzo zmęczony. Wtedy jakaś kobieta poprosiła czy może usiąść na moim bagażu. Zgodziłem się i kilkanaście godzin stałem. Zasypiałem na stojąco i śniły mi się jakieś koszmary. Podcinało mi nagle nogi i budziłem się. Pięty bolały. W końcu wycieńczony wysiadłem na dworcu w Olsztynie. Byłem tak zmęczony, że doszedłem do ławeczki i chciałem się położyć spać. Wtedy na dworzec przyjechała Zbychu. Dowiózł mnie do ich kwater. Wziąłem kąpiel i zasnąłem jak zabity na kilka godzin. Po obudzeniu czułem się jak nowo narodzony. Poszliśmy na dyskotekę. Niestety z praktyki mnie wyrzucono za spóźnienie. Musiałem wpisać się na kolejny turnus. W końcu kurs zakończono kilkunastoma egzaminami w Serocku. Z

geografii miałem poprawkę. Gdy przejeżdżaliśmy przez Warszawę to właśnie zakładano liny na pomnik Dzierżyńskiego. W chwilę później rozleciał się [tego już nie byliśmy świadkami]. Praktyki na geologii to też piękny rozdział. Mazury, Hel, Sudety, Pojezierze Lubuskie, Krzeszowice i objazdowe praktyki po Karpatach i aż po całą Lubelszczyznę. Piękna historia. Zawsze było wesoło i coś się ciągle interesującego działo. Na praktyce kartograficznej w Krzeszowicach z prof. J.Rutkowskim było najwesелей. Zauważył, że z Józkiem i Mirkiem potrafimy pracować więc brał nas do swych terenowych badań. Jest to człowiek o niekontrolowanych do końca niektórych odruchach. Tak nas to bawiło, że śmieliśmy się do rozpuku bo ciągle coś z tego wynikało śmiesznego. A zaczęło się gdy szliśmy ścieżką i profesor polecił Tomkowi Jakubcowi zrobić krokówkę do końca odslaniających się w ścieżce wapieni a Grzesiowi polecił zrobić pomiar kompasem geologicznym. Okazało się, że Grześ stanął przy metalowym słupku. Za co profesor go zbeształ. W tym czasie Tomcio sobie poszedł w siną dal. Patrzymy a Tomka nie ma. Chłopak nie zrozumiał o co profesorowi chodzi. Gdy się skapnął schodzi z górki. Ludzie pękali ze śmiechu. Tomcio widząc, że ja się z niego nie śmieję podchodzi i zaczyna się tłumaczyć. Tego było za wiele. Też wybuchnąłem śmiechem. Od tej pory przez całe trzy i pół tygodnia cały czas był śmiech bo zabawne sytuacje nas nie opuszczały. To ktoś zagapił się i gdzieś spadł, zgubił się, dostał gałęzią. Graliśmy w pingponga a profesor podbiegał do okien patrzeć czy uczymy się do egzaminu który miał być pod koniec praktyki. To nas bardzo bawiło. Niestety przed egzaminem nasz niedoświadczony kolega wybrał się z imprezowymi kolegami na miasto. Ostrzegaliśmy go żeby z nimi nie pił bo to starzy zawodnicy a on nie ma doświadczenia. W końcu jednak poszedł. Przyszedł w strasznym stanie. Był zielony jak marsjanin. W końcu pobiegł do ubikacji i zamknął się w niej. Udało się go wyciągnąć po dwu godzinach. Prosił żeby dać go pod prysznic. I tu znów siedział ponad godzinę. Musieliśmy szybko sprzątać po nim korytarz. Wszystko w ciszy i w pobliżu pokoju profesora. Udało się sprawę zatuzować. Czasami śmieliśmy się do rozpuku i przy profesorze. Trochę i z jego niesamowitych ruchów. Zastanawialiśmy się czy go to nie rozdrażni. Wyglądał na spokojnego. Dzień przed egzaminem wyszedłem z pokoju i idę do łazienki. Podeszwę butów miałem twardą i maszerowałem głośno jak żołnierz na defiladzie. Profesor wyszedł ze swego pokoju. Usłyszał szybkie kroki i patrzy za siebie i w tym momencie zderzył się ze ścianą. Myślałem, że pęknę ale nie dałem nic po sobie znać. Profesor trzy razy wchodził do łazienki żeby sprawdzić czy się śmieję. Gdy wychodził rzucałem maszynkę do golenia i bezgłośnie wiłem się ze śmiechu. Samo zderzenie profesora ze ścianą było mniej śmieszne niż to sprawdzanie czy się nie śmieję. Po egzaminie wezwał tylko mnie i Mirka i zaczął omawiać odpowiedzi. Za pierwsze zadanie dał mi trzy. Wyjaśniłem gdzie popełniłem błędy więc podniósł się na cztery. Mirkowi dał dwa. Pomyślałem, że może chce się odgryźć za te śmiechy. Mirek za pozostałe dostał same piątki. Mnie poszło ciut gorzej. Zapytał czy kiedyś pojechalibyśmy jeszcze z nim w teren. Po paru miesiącach widzę kartkę dla nas pod dziekanatem. Poszedłem do profesora. Ustaliliśmy wyjazd. Nie miałem czasu więc udało mi się wysłać kolegę Piotra Kukiałkę mówiąc mu, że jeśli pojedzie z profesorem zapunktuje dobrą pracą to na pewno łatwiej zda egzamin. Zdawał ale wiele razy. Mirek jeździł na każdy weekend do domu i chodził na ryby. Józku postanowił mu zrobić kawał. Przyniósł niby kartkę od profesora z napisanym terminem i godziną wyjazdu. Najbliższa sobota. Wszystkim nam zabronił żeby Mirkowi nic nie mówić. I zaczął Mirka dręczyć, że jak profesor tak mógł bez zgody Mirka z góry ustalić termin, mówił o złym traktowaniu Mirka itp. itd. Mirek był wściekły. Nie mógł jechać wędkować. Chciał biec do profesora i sprzeciwić się takiemu traktowaniu. Ubawiliśmy się niezłe. W końcu powiedzieliśmy mu prawdę. Ucieszony szybko się spakował i pojechał do domu. Józku takich pomysłów miał bardzo wiele i ciągle coś wymyślał śmiesznego. Dzięki temu nigdy nie było nudno. To schował komuś rower. To nabrał kogoś. To znów snuł opowieści straszne i niesamowite i później dziewczyny bały się wracać same do swych akademików. Bajerował przy tym strasznie. Ja byłem poważny i zastanawiałem się jak on bajeruje dziewczyny na dyskotecę. W końcu przysłuchałem się i stwierdziłem, że jestem za poważny i tak nie potrafię. Piotr Kukiałka był serdecznym kolegą Józka. Jego matka była rusycystką na geologii. Była bardzo spokojna i wszyscy po pierwszym semestrze chcieli się do niej przenosić. Przychodziło wielu. Każdemu odmawiała. Nagle zjawia się Józio. 'Jestem Dziegielowski kolega Piotrka'.

'A Pan Dzięgielowski proszę proszę siadać'. Uśmieliśmy się do rozpuku. Zawsze umiał sobie załatwić sprawy. Gdzie się pojawiliśmy od razu wszystkich znał [od portiera po dyrektora] i już miał coś pożyczonego. Mieliśmy koleżankę Danusię śliczne ale bardzo tajemnicze dziecko. Ćwiczyła kung-fu. Józio zaczął się nią interesować ale nie mógł jej rozszyfrować. Była zbyt tajemnicza i nie mógł się z nią o dziwo porozumieć. Na półmetek poszedł z Danuską. Ja poszedłem z Ireną. Po półmetku Irena i Józio poszli na dyskotekę. Ja nie miałem ochoty. Następnego dnia ja chciałem iść na dyskotekę a Józio nie chciał. Na siłę go wyciągnąłem. I wtedy poznał Marzenkę i od tej pory już byli razem. Co prawda oglądał się za innymi ale Marzenka w końcu zdecydowanie zwyciężyła. Józio i Marzenka to też cała historia ale to pozostawiam im.

Kino zawsze było moją pasją. Telewizji prawie się nie oglądało. Poza krótkim okresem oglądania wideo i w pewnym okresie coniedzielnym oglądaniem smurfów i dziennika telewizyjnego. Mały ekran dużemu nie dorównywał więc do kina po prostu się chodziło. Chodziły tłumy ludzi. Po bilety trzeba było stać w kolejkach i ilość biletów możliwych do kupienia była limitowana. Działali wtedy koniki. Z jednym nawet kiedyś zadarliśmy. Gdy usiłował nam sprzedać nachalnie bilet po chorendalnej cenie to po prostu go wyśmialiśmy. Później omal nie oberwałem gdy podchmielony poznał mnie pod dyskoteką. Usiłował mnie zaczepić. Zrobiłem płynny unik i odszedłem. Byłem wtedy z Ireną i nie w głowie była mi jakaś bijatyka. Pewnego razu poszedłem z Anką, Darkiem i Jiózkiem do kameralnego kina Mikro na film Romana Polańskiego „Człowiek z Rio”. Film był bardzo dobry. A fabuła kryminalna na tle karnawału południowoamerykańskiego była czymś fascynującym. Po filmie się okazało, że jest spotkanie ze szczególnym gościem. Wchodzi na salę Roman Polański z rękami w kieszeniach tak po amerykańsku. Przywitał się pięknie coś powiedział i czekał na pytania. Były bardzo fachowe pytania – najwyraźniej filmowców. Lecz większość było zjadliwych zarzutów, których szkoda wymieniać. Facet na początku usiłował tłumaczyć się, że nie jest wielbłądem w końcu się zdenerwował i powiedział, że taka zjadliwość i zawiść to tylko u Polaków jest możliwa. Anka i ja trzymaliśmy stronę Polańskiego. Darek i Jiózku byli przeciw niemu. Jeszcze po drodze do akademika toczyliśmy zacieklą walkę słowną w sprawie Polańskiego. Do teatru wybrałem się ze trzy razy. Odwiedziłem filharmonię. Chodziło się na występy kapel rockowych, poezji śpiewanej, szanty, kabarety czy pokazy i zawody sztuk walki. Powrócił zwyczaj juwenaliów i wtedy na miasteczku i na uczelniach były liczne imprezy. Pamiętam jak z Ireną bawiliśmy się w miasteczku i tańczyliśmy przy muzyce. Życie na miasteczku studenckim toczyło się swoim intensywnym rytmem do późna w nocy. Imprezy często i zdarzały się wypadki śmiertelne. Sam byłem kilka razy świadkiem jak goście na wysokich piętrach spacerowali po parapetach – na pewno nie trzeźwi. Przez długi czas był zwyczaj, że o godzinie 24 ktoś z Kapitolu (akademik) puszczał bardzo głośno muzykę z Janosika – nawet powstał fanklub. Dołączono jeszcze melodię z kapitana Kłosa i greka Zorby. Ludzie palili gazety i wyrzucali przez okna. Administracja miasteczka ostro zabrała się za tępienie tego procederu. Mieszkała w naszym akademiku chłopak w sąsiednim pokoju który grał, a w zasadzie usiłował grać na trąbce. Otwierał okno późno w nocy i grał. Uspokajaliśmy go ale nie pomagało. W końcu z zewnątrz przybyła ekipa, która go uspokoiła. Mieliśmy w pokoju bardzo starą lodówkę saratów. Tak głośno chodziła, że słysząc ją było na kilka pięter zwłaszcza wtedy jak mocowani silnika [usztynialiśmy to drewniakami] się obluźowały. Kiedyś wsadziliśmy do zamrażalnika dużego kurczaka. Była niedziela. Czekaliśmy na Mirka żeby przyjechała z domu i przywiózł coś do jedzenia bo nie było już nic. Mirek nie przyjeżdżał więc postanowiliśmy ugotować kurczaka. A tu nie da się go wyjąć z zamrażalnika. Jakby utył. Namęczyliśmy się żeby mu połamać nogi. Udało się po półgodzinnej ciężkiej walce z licznymi poranieniami na rękach. Ale kurczak dalej nie wychodzi. Biodra za szerokie. Rozwaliliśmy zamrażalnik i w końcu się udało. Odnieśliśmy zwycięstwo. Załatwiliśmy cebulę ugotowali kurczaka i 'wcieliśmy' go całego. Gdy w końcu pozbyliśmy się lodówki to Józek przez wiele nocy nie mógł spać. Józek lubił straszyć lecz kiedyś i jego zaczęło straszyć. Pewnego razu zwierzył się, że od paru tygodni budzi się w nocy i słyszy jakieś głosy a spod telewizora wybiega krasnoludek i biegnie w jego kierunku. No białe myszki to rozumiem ale żeby od razu krasnoludek. Zapytałem go czy on jeszcze w ogóle się modli. No wiesz jak jest i zaczyna się w swoim stylu tłumaczyć. Mówię. 'Józku zacznij się modlić a krasnoludek zniknie i głosy odejdą'.

Zaczął się modlić krasnoludek zniknął i głosy odeszły. Ja spałem jak zabity. Nie miałem pojęcia, że była jakakolwiek większa impreza w akademiku. Nieraz budziłem się rano a tu Józio umęczony. Nie spał całą noc bo goście za głośno imprezowali. Gdy mieszkałem jeszcze z Grzesiem Tomicą i Darkiem Decem kiedyś w środku nocy wpakował się do nas piany potężny facet. Chcieliśmy go wyprosić ale był agresywny. Coś powiedział złego do Anki – dziewczyny Darka. I w końcu popatrzył po nas, a widząc, że jestem najchudszy wezwał mnie na korytarz. Chciał się bić. Zamiast się bić po prostu wsiadłem na gościa z ciężką mową, która zbiła go z tropu. Myślał, że się będę bał a tu ja go zaczynam pouczać. Tak go to rozbroiło, że po prostu słuchał. Widział, że jestem zdecydowany. W końcu się złamał. Wchodzimy do pokoju i gość przeprosza Ankę i chłopaków. Długo mnie męczyli co mu zrobiłem. Zostawiłem sobie tę tajemnicę. Kiedyś biegłem na trening a tu na klatce schodowej potężny student mocno podpity. Lubił w tym stanie zaczepiać ludzi. I mnie zaczepił. Chwycił za ubranie. Ćwiczyłem ju-jitsu więc szybko pozbyłem się chwytu, obróciłem wkoło niego i nim się zorientował już byłem na dole. Wracam z treningu a tu szyby porozbijane, na posadzkach, schodach i ścianach mnóstwo krwi. Okazało się, że kogoś zaczepił i tak się obaj tłukli, że efekty pozostały straszne. Nawet dziekana Majewskiego wezwano. Konsekwencje były. Kiedyś grupka tzw wiecznych studentów w slumsach w czasie imprezy zdarła parkiet i zrobiła sobie ognisko. Też konsekwencje były. Wielu ludzi miało wtedy zwyczaj studiowania przez wiele lat. Kolega Tomcio był jeszcze na drugim roku, a rodzice byli przekonani, że jest na piątym i dawali pieniądze. Przykro im było gdy się w końcu dowiedzieli. Tomcio i tak plątał się po akademikach i nie wiem czy w ogóle skończył studia. Grześ też ciągnął studia długo. Rodzice geolodzy wysłali go ambitnie na geologię. A on był bardzo dobrym ekonomistą. Jak na tamte czasy zadziwił nas swoją potężną wiedzą. Więc na geologii studiowało się mu źle. Kiedyś go spotykam a on mówi; „Idę na laborkę z gruntów. Pożyczyłem skrypt do laborki pod koniec ubiegłego semestru bo zlitowali się nademną i pozwolili odrobić zaległe laborki ale tak jakoś zeszło, że idę dopiero teraz. Hertzig i Dąbrowski mnie zabijają”. „O tak na pewno cię zabijają” pocieszyłem gościa. Bo faktycznie skryptów było niewiele i coś nadawali o gościu który wziął skrypt i zniknął. Kiedyś byłem w czasie ferii zimowych w akademiku sam. Robiłem kurs instruktorski. A tu wchodzi chłopaczek i mówi czy może przenocować bo przyjechał z Olsztyna do kolegów, a ich nie ma i nie ma gdzie spać. Zgodziłem się. Zjedliśmy kolację, pogadaliśmy, położyłem się i zasnąłem. Rano się budzę i czuję jakiś dziwny zapach. Gość śpi jak zabity więc napisałem mu jakąś informację i pobiegłem na kurs. Wracam a tu Zbychu przychodzi i mówi, że ten mój lokator jest jakiś dziwny i pewnie to wączacz butaprenu. Okazało się, że coś porozbijał w kuchni. Przypomniałem sobie dziwny zapach od którego bolała mnie głowa. Złapałem gościa i proszę stanowczo o wyjaśnienia. Przyznał się. Zapytałem czy faktycznie przyjechała z Olsztyna i czy tam mieszka. Potwierdził. Przenocowałem go. Następnego dnia. Nakarmiłem go. Dałem mu pieniądze na bilet. Kiebasę i coś jeszcze do jedzenia na drogę i kazałem mu wracać do domu. Zamknąłem pokój i pobiegłem na kurs. Okazało się, że gość nie odjechał tylko chodził i dobijał się do drzwi. Nastraszył sąsiadkę tak, że się zamknęła w pokoju i nie wychodziła. W końcu pobiegła po portiera, który wyrzucił go z akademika i nie wpuszczał. Słyszałem jeszcze od ludzi z miasteczka, że pojawiał się tu i ówdzie. Wtedy narkomania jeszcze nie była taką plagą jak obecnie ale już się to zdarzało zwłaszcza w większych miastach. Były wtedy popularne radiowęzły studenckie. Było ich kilka. Rano budził nas przeraźliwy świergot porannych ptaszków. Muzyka i programy były dobre. Kiedyś zaproszono do takiego radia człowieka, który opisał życie akademickie w bardzo złym świetle. Z jego artykułu wynikało, że w akademikach nic tylko same imprezy i orgie a panienki chodzą nago po korytarzach – nigdy nie widziałem. Kilku inteligentnych ludzi tak go sobie wypożyczyło, że facet szybko zaniemówił. Był zwyczaj co roku organizowania wyborów przez radio miss i mistera miasteczka. Akurat siedzieliśmy w pokoju i większą grupą planowaliśmy iść do Nawojki do znajomych dziewczyn. W końcu Józiu wpadł na pomysł, że wybierzemy na mistera Piotra z Przemyśla. Piotr to była indywidualność. Geniusz. Na zajęcia nie chodził. Spał w ubraniu. Poznawał ludzi i odzywał się tylko gdy ktoś go zaczepił. Papieros wiszący na wardze. Całymi nocami chodził po korytarzu, a w dzień spał. Wychodząc z akademika zadzwoniliśmy do radia. Każdy głosował za Piotrem. Tomek Cesarz wezwał całą geologię do zmobilizowania sił i zagłosowanie na Piotra. Wróciliśmy

późno, a tu dziewczyny biegają za Piotrem pełne podziwu. Okazało się, że apel Tomka załapał. Piotr wygrał. Gdy pojawił się w radiu po nagrodę redaktor pewnie chciał spaść ze stołka. Widząc dość dziwne indywiduum chciał sobie na Piotрку użyć i zaczął go poniżać. Piotr wyglądał jak wyglądał ale był nieprzeciętnie inteligentny. Szybko pokonał redaktorka. I za piękny styl tego zwycięstwa dziewczyny tak go podziwiała. Józio wtedy mieszkał z Piotrem i z chłopakiem po wojsku Januszem, którego nazywaliśmy żołnierzem. Spał pod lampą setką umieszczona nad twarzą. Gdy się mu gasiło lampkę budził się. Załączał ją i natychmiast zasypiał. Zastanawialiśmy się czy może go przesłuchiwali w tym wojsku. Chłopaki w pokoju zbyt dużego porządku nie mieli. Kiedyś dziekan Majewski odwiedził akademik [miał taki ojcowski zwyczaj]. Wchodzi około 10-tej do pokoju chłopaków a tu wszyscy śpią. Pokój brudny, podłoga w błocie. Na lodówce butelki ze starym mlekiem, masło z wbitymi petami i jakaś brudna szmata. Kierowniczką omal nie zemdlą. Dziekan zszokowany i pyta dlaczego nie są na zajęciach. Coś tam pokręcili. W tym momencie Piotr wychodzi z pościeli w ubraniu. Dziekan wykrzyknął „Chłopie mógłbyś się chociaż rozebrać do spania!”. Życie w akademiku miało to do siebie, że zawsze coś się ciekawego działo.

Mieliśmy ochotę zrobić jeszcze kurs przewodnika bieszczadzkiego ale ja robiłem prawo jazdy. Okrągły stół przebiegł tak spokojnie, że prawie niezauważalnie na tle wcześniejszych strajków i pacyfikacji. Zbliżały się pierwsze wolne wybory prezydenckie w wolnej od komunizmu Ojczyźnie. Mój instruktor wierzył w Tymińskiego, który pojawił się nie wiadomo skąd i w ramach przedwyborczej kielbasy obiecywał złote góry i drugą Japonię. Klóciłem się z facetem, że nie można się tak dawać nabierać ale gość swoje. W końcu to nas poróżniło. Jakoś do końca wytrzymałem z tym instruktorem. Egzaminy zdałem od razu. Mieliśmy szczęście bo druga grupa była egzaminowana przez egzaminatora z komendy wojewódzkiej policji i mało kto wyjechał z placu. Mnie udało się zauważyć znak zielonej strzałki w lewo, którego pomimo przejeżdżania tędy kilka razy wcześniej nie spostrzegłem. Omal nie popełniłem błędu i byłbym się całkiem zatrzymał. Egzaminy to w ogóle szły mi na geologii bardzo sprawnie. Jeśli nawet przed egzaminem się denerwowałem to wchodząc na egzamin stawałem się bardzo spokojny. I tak jest zawsze. Oczekiwanie na coś jest dla mnie czasami bardziej męczące niż nadejście tego. Tylko z geologii inżynierskiej zostałem odesłany żeby powrócić z metodą Sokołowskiego obliczania stateczności skarp. Profesor miał pytać tego co było na wykładach a tej metody nie było więc się nie uczyłem. Jiózio chodził na egzaminy w moim krawacie. Kiedyś szliśmy razem i pożyczył od innego kolegi. Nie zdał. Wtedy stwierdził, że na egzamin to tylko w moim krawacie. Zdając u jednego z profesorów studenci podkładali kartki z pytaniami. On o tym wiedział i na to pozwalał. Ale za to pytał dogłębnie z tego co sobie student wybrał łącznie z pytaniami pokrewnymi z innych działów. Potrafił tak umęczyć, że wielu nie zdawało. Na zajęcia to pewnie chodziłem najpilniej z grupy. Określenie Chemika z LO 'żelazny student' na studiach miało swe zastosowanie. Pomimo napiętego programu moich zajęć poza studiami byłem jednym z bardzo nielicznych, który zaliczał większość wykładów. Byłem zawsze bardzo obowiązkowy – może nawet za bardzo. Mogłem się uczyć nawet wtedy gdy w pokoju był tłum ludzi i wszyscy rozmawiali. Jiózio potrzebował spokoju i ciszy. Często zamykał się w czytelni i stukał na głos. Mirkowi nauka przychodziła sama. Był tak zdolny, że miał tylko bardzo dobre oceny. Kiedyś w ramach kawału chłopaki napisali list pochwalny do rodziny Mirka niby to z uczelni. Gdy wrócił do domu wszyscy się zachwycali. W końcu powiedział, że to kawał. Byłem w ciągłym ruchu i co poniektórzy koledzy stwierdzali, że umrę na zawał jeśli będę tak ciągle biegał. Nawet częste gorączki i osłabienia nie przerywały mej aktywności. Czasami wpadałem umęczony do akademika. Kładłem się na kilkanaście minut. A później już trochę wypoczęty biegłem dalej by działać. Może faktycznie robiłem za dużo rzeczy na raz i byłem w ciągłym pośpiechu. Dopiero zakochanie się w Irencie trochę mnie przystopowało. Tak ucząc się, ćwicząc, kochając, bawiąc i dorabiając w spółdzielniach studenckich marzyłem, że ludzie zbudują piękny świat wszak w końcu nastąpiła upragniona demokracja, a uciążliwy komunizm odszedł w dal. Ostatnie dwa lata studiów były piękne bo miłość mnie rozpieszczała. Najpierw byliśmy razem z Irenką. Wszędzie razem cały rok. Nauka już była luźniejsza chociaż o dziwo na czwartym roku było dość dużo zajęć. Był do wyboru fakultet. Miałem ochotę wybrać

kosmologię z dr. Płazakiem ale gdy dowiedziałem się że zbyt poważnie to traktuje wybrałem filozofię czasu. Filozofia urzekła mnie już na pierwszym roku bo pęd do poznawania Absolutu miałem od dziecka. Młoda Pani wykładała nam bardzo pięknie filozoficzne interpretacje czasu. To było dla mnie pociągające tym bardziej, że zawsze mocno będąc zakochanym w Jezusie, coś wiedząc o wschodnich doktrynach i broniąc wiary widziałem logiczne połączenie wszystkich tych elementów. I te wykłady wprowadzały mnie w istotę tej sprawy. Był to czas silnego antyklerykalizmu jeszcze zapoczątkowanego w okresie komunizmu. Toczyłem ciężkie dyskusje z licznymi przeciwnikami Kościoła i księży. Gdy taki ktoś nadawał na księży zawsze pytałem go ilu księży zna blisko osobiście. Zazwyczaj nie znał żadnego. Często więc potrafiłem huknąć „Nie znasz żadnego a mówisz o jego wadach ! Człowieku opamiętaj się ! Żyjesz jak ci się podoba to twoja sprawa ale nie masz prawa zasłaniać swego życia cudzymi grzechami zazwyczaj wymyślonymi !”. Mówiąc takim językiem łatwo zrażałem sobie niektórych ludzi. Ale to był jedyny sposób by cokolwiek do nich dotarło i by zaczęli myśleć. Do dziś toczę takie dyskusje bo życie wciąż sprawia, że trafiam na fanatyków i ludzi żyjących bez Boga, którzy rany swej chorej duszy usiłują leczyć atakując innych. Niestety to dotyczy również wielu wierzących, którzy innym nie pozwalają wierzyć na ich sposób. Fanatyzm wciąż istnieje dlatego ostateczne tłumaczenia Istoty Boga mające obecnie w świecie miejsce natrafiają na tak ogromny opór. Był kolega Piotrek dobry chłopak ale zadający się z fanatycznymi chrześcijańskimi grupami religijnymi, które uważały się za wybrane. Z powodu tego fanatyzmu ciężko toczyłem z nim dyskusje. Radziłem żeby odpuścił bo wszyscy są wybrani a takich cwaniaków, którzy wtłaczają mu do głowy takie głupoty to lepiej z daleka omijać. W końcu załapał się na oazę zajmującą się niepełnosprawnymi niedorozwiniętymi. Miał swego podopiecznego. Stał się szczęśliwym i zrealizowanym człowiekiem. Znalazł swoje powołanie a głupoty wywietrzały mu szybko z głowy. Jeden z naszych kolegów karatek Marcjan zaczął chodzić na zajęcia z jogi ruchu. Mówił, że czuje, że ich mistrz [kilkanaście lat pobytu w Tybecie] wysysa z nich energię. To mnie dziwiło. Kiedyś miał być pokaz manifestacji mocy wawelskiego czakramu, co miał sprawić ów mistrz. Marcjan zapraszał więc poszliśmy z Józkiem. Gdy zobaczyliśmy jak mistrz zaczyna swe ruchy wybuchnęliśmy śmiechem. W końcu mistrz stwierdził, że moc nie ujawni się bo nastawienie publiki jest niepozytywne. Wtedy również pojawił się w Krakowie mistrz Zen Kaisen polsko-francuskiego pochodzenia. To co On mi przekazał wryło się w mej duszy dogłębnie. Jedynym celem mistycyzmu jest zjednoczenie z Bogiem i poznanie Jego najgłębszej Istoty to raz. A dwa należy tak wszystko czynić jakby za moment miała przyjść śmierć i zjednoczenie z Bogiem. Nie potrzebowałem by ktoś mi tłumaczył więcej. Praktyką zen nie zająłem się bo już brak było czasu aby jeszcze jakieś dodatkowe obowiązki na siebie przyjąć. Za to zacząłem chodzić do Misjonarzy na miasteczku na długi kurs przedmałżeński. Przyznaję, że naprawdę był on tak bogaty w treści, że nawet Irena często ze mną chodziła chociaż była już dużo wcześniej po kursie. Poza tym zauważyłem, że Ojciec Mirek wpaja swym podopiecznym bardzo mądrą ideę. 'Jeśli kochasz siebie potrafisz kochać innych'. To miało bardzo głęboki sens bo do końca średniej szkoły walczyłem z kompleksami i je pokonałem – pokonując je byłem w stanie pokochać i zaakceptować siebie. A ponieważ nie miałem nigdy kompleksów wyższości pokonanie kompleksów niższości sprawiło, że stałem się bardzo wrażliwy na ludzi i natychmiast byłem w stanie wyłowić wrażliwych aczkolwiek uważających się za gorszych i słabszych od innych. Często w ich obronie stawałem. Była u nas w dziekanacie Pani, która dosyć była nieprzyjemna dla studentów [wtedy urzędnik zaczął mi się źle kojarzyć]. Kiedyś przede mną załatwiał sprawy chudziutki, wybiedzony i trochę zakompleksiony ale niesamowicie zdolny chłopak z geofizyki. Ona natychmiast wyczuła, że może nad nim górować. Chodziło o jakąś bzdurną sprawę, którą jak najbardziej można było załatwić z korzyścią dla niego. A chodziło nie o byle co tylko o przyznanie chłopakowi dość wysokiego stypendium naukowego. A terminy już mijały. Oczywiście stwierdziła, że już nic się nie da zrobić i zaczęła gnębić wystraszonego chłopaka. Wtedy się wściekłem. Zaczęłem głośno komentować jej złośliwość i brak miłosierdzia. Sprawę jednak dało się załatwić. Gdy kiedykolwiek wchodziłem do dziekanatu to nawet na mnie nie patrzyła. Kolega Darek Smolich, z którym mieszkaliśmy na ostatnim roku był spokojnym cholerykiem, który potrafił wpaść w furję. Kiedyś gdy Jiózio nie oddawał mu patelni [o co

zresztą prosiłem] a ja zażartowałem, że po takim długim czasie to już przez zaużywanie jest nasza to Darek dwa razy mnie kopnął ze wściekłością. Dopiero gdy dostał w policzek to się uspokoił. Na chwilę. Bo za chwilę wpadł na Józka i gdy Józek zaczął żartować chwycił nawet za nóż. Dopiero obalony i z kolanem Józka na swej klatce uspokoił się i opanował. Kiedyś Pani z dziekanatu też Go zdenerwowała. Podobno wpadł w taki gniew, że zaczął się na nią wydzierać, aż Dziekan i pracownicy dziekanatu się zlecieli. Nigdy więcej gniewu Darka nie widziałem. Grał świetnie na gitarze. Pływał na kajakach [pływa ponoć do dziś]. Często na imprezach śpiewaliśmy szanty, które były bardzo modne. Zresztą gitara i śpiew na wielu wyjazdach, praktykach i imprezach były na porządku dziennym. Wtedy bardzo dużo się śpiewało. W modzie była poezja śpiewana. Do mnie najbardziej przemawiał [i do dziś przemawia] Jacek Kaczmarski. W końcu przyszła praca dyplomowa pod kierunkiem profesora Stanisława Witczaka. Dość obszerna. Byłem już żonaty. Ponad dwa miesiące spędziłem w terenie w rejonie składowiska odpadów dla miasta Krakowa w Baryczy. Był to okres niesamowitych upałów, które źle znoszę. Dało mi to w kość. Upały i susza były takie, że kukurydza koło Tuchowa była marna. W rejonie mej praktyki o połowę mniejsza, a na piaszczystym Pomorzu wzrosła na kilkadziesiąt (30-40) centymetrów i tak gęsto jak słupy telegraficzne. Ludzie śmiali się, że jak zboże w Rosji. W terenie tachałem mnóstwo sprzętu. Gdy sam robiłem wiercenia to musiałem dźwigać wiele kilogramów. Dawało to w kość. Gdy wracałem do akademika ledwie żyłem. Mieszkałem wtedy w slumsach. Jak nie zabijam zwierząt [staram się oszczędzać nawet muchy i komary] tak wtedy stałem się prawdziwym zabójcą insektów. Nie opróżniono kosza z odpadkami i gdy się wprowadziłem miałem cały pokój prusaków. Przyjechała Irena a tu w nocy prusaki tuptają i włożą pod kołdrę. Rano zaczęła się walka trwająca kilka dni. Docieraliśmy do każdego miejsca gdzie były insekty i się je biło pantoflem. Ciężko było bo trzeba było trafić tam gdzie prusak będzie a nie tam gdzie jest. Tak szybko uciekały. Później dowiedzieliśmy się od cioci Karoli, że wystarczy rozlać piwo. Prusaki się upijają i można je spokojnie pozabijać. Jakie proste ! Kto by na to wpadł. Jesienią zebrałem jeszcze dużo próbek wody i zaczęła się praca laboratoryjna. Materiałów było dużo więc je segregowałem. Wybudowaliśmy też garaż, w którym zamierzaliśmy zamieszkać. Dwa trzy dni tygodniowo w Krakowie i resztę w Kielanowicach bo roboty nie brakowało. Hodowanie świń, przycinanie sadu. W styczniu w 1993 roku było tak ciepło, że w podkoszulku kopałem ziemię na działce. Ze względu na wysokie ciepło w lutym mieliśmy tynkować garaż. Wypał mi jakiś wyjazd do Krakowa. Rano wstajemy a tu zima, śnieg i mróz. Dobrze, że nie wzięliśmy się za tę robotę. Od maja zaczęliśmy dzięki pomocy rodziców i zgromadzonemu przez lata materiałowi budowę domu. Roboty mnóstwo. Absolutorium zrobiłem a tu jeszcze dokończenie pracy dyplomowej i obrona. Praca dyplomowa była bardzo obszerna – jedna z najobszerniejszych przez długie lata. W końcu jakoś to posklecałem i 8 lipca obroniłem się. Następnego dnia przenieśliśmy się z Ireną do garażu. Spaliśmy na jednej kołdrze i przykrywaliśmy się drugą. Mieliśmy swe wymarzone gniazdko rodzinne.

5. Miłość i założenie rodziny

Zakochiwałem się wiele razy. W czasie studiów kochałem się nieśmiało w kilku dziewczynach. Jedną młodzieńca Dorotka cały czas była przy mnie w czasie treningów u Śliwki. Były takie okresy, że nie chciała ćwiczyć z nikim innym tylko ze mną. Śmiałem się z tego i ćwiczyłem bo jak nie to się śmiertelnie obrażała. Kilka razy się z nią spotkałem. Jednak nic do niej nie poczułem poza koleżeńską sympatią. Nie pasowaliśmy poza tym do siebie. Pewnie szybko podzieliłbym los jej ojca, z którym matka się rozwiodła i Dorotka ojca prawie nie знаła. Brakowało jej go bardzo więc w pewnym sensie chociaż na krótko mogłem pełnić tę rolę. Była i Dorotka ze studiów. Jako koleżankę to ją lubiłem ale najwyraźniej zabujała się we mnie bo kiedyś gdy byliśmy sami w pokoju i coś ją napadło to nawet tłumaczenie nie pomogło – po prostu musiałem wystawić kobietę za drzwi i zamknąć pokój. Całego siebie trzymałem dla tej jednej mimo moich słabości z młodości, które niestety czasami powracały. Wtedy już był okres gdy wielu bardzo luźno

podchodziło do spraw damsko męskich. Mieliśmy kolegów którzy traktowali dziewczyny jak przedmiot. Ciężkie dyskusje z nimi toczyłem w tym temacie ale goście wiedzieli swoje. Jeden z nich kiedyś zapoznał na dyskotecie zgrabną ale bardzo brzydką dziewczynę. Ona się w nim pewnie zakochała bo był faktycznie przystojny. On jej używał dosłownie do seksu i tylko to go interesowało. Żeby go ostudzić śmialiśmy się z niego, że wpadnie. On stwierdził, że ona nawet nie wie w którym akademiku on mieszka. I w tym momencie ona wchodzi. Wybuchnęliśmy z Józkiem śmiechem i tak się nam zrobiło głupio, że szybko musieliśmy się ewakuować z pokoju. Wiadomo, że z takiego związku nic nie wyszło. Były i inne luźne związki moich kolegów, które się rozpadły z różnych powodów. Jeden jakiś prozaiczny powód może znudzenia sobą w drugim przypadku śmierć kolegi w wypadku. Obie te dziewczyny były bardzo zakochane i utratę ukochanego przeżyły bardzo mocno. Do jednej z nich długo sam zachodziłem bo traktowałem ją jak swoją bliską koleżankę znam więc jej ból z rozstania. Kolega, wspaniały człowiek, którego do dziś cenię też ciężko przeżył to rozstanie. Stracił swój temperament i stał się miśkowaty. Ciągle spał i marniał w oczach. Do praktyk religijnych podchodził wtedy dość luźno więc nie szukał pociechy u Jezusa i Maryi. W końcu zaczął chodzić na grupę ludzi, którzy ułożeni w gwiazdę byli hipnotyzowani i w czasie takiego transu niektórzy pękali i następowała spowiedź generalna z całego życia wśród płaczu i ogólnej radości. Zdziwił mnie taki sposób zrzucania z siebie balastu ciężarów swych słabości ale faktem było, że ludzie zostawali wyleczeni na duszy i psychice. Na początku baliśmy się o kolegę ale kiedy i on pękł i znów stał się taki radosny jak dawniej uznaliśmy, że najwyraźniej mu to pomogło. Wtedy niewielu ludzi w Polsce słyszało o psychoanalitikach. Kiedyś w czasie praktyki górniczej na pojezierzu Lubuskim zakochałem się w Monice pięknej brunetce z Nowej Soli. Paliła papierosy ale moim sercem tak zawładnęła, że byłem gotów na to nie patrzeć. Bawiliśmy się kilka razy na dyskotecie i kiedyś przegadaliśmy całą noc. Jednak odległość była zbyt duża i ta miłość nie miała szans się rozwinąć. Józku ganił mnie za nierozsądek i miał rację. Za daleko. Tomek Cesarz kolega z liceum i ze studiów chodził na górkę do Redemptorystów. Duszpasterstwo prowadził wtedy Ojciec Mirek Chmielewski. Chodziliśmy tam czasem z Tomkiem. Poznaliśmy wiele dziewczyn. Była jeszcze Renatka, która polowała na faceta. Delikatnie jej wyjaśniłem, że nic z tego nie będzie. Byli i tacy, którzy zamiast jej wyjaśniać jak ja zabawiali się jej kosztem. Nawet jeden z kolegów dosyć mocno miał z tego powodu przejścia. Nie można zabawiać się czymś uczuciem jeśli wiadomo, że nic z tego nie będzie. Lepiej po prostu komuś to powiedzieć prosto w oczy – ból będzie krótszy i mniej dotkliwy. Mieliśmy i w grupie na geologii takie formy zabawiania się cudzą miłością i wodzeniem kogoś za nos. Zakochany jest jak w amoku a obiekt adoracji może to na zimno wykorzystywać dając złudną nadzieję i zamęczając tym nieustannie zakochaną osobę. Byliśmy długo świadkami takiego przypadku miłosnych westchnień i udręk naszego kolegi, którego koleżanka tak właśnie traktowała nie zrywając tej męki tylko ją podniecając. Nie można mu było pomóc dopiero po długiej męce sam przejrzał.

Irenka byłaby zdaniem Tomka i Jiózia idealną dla mnie żoną. Traktowaliśmy się jednak jako koleżeństwo i śmialiśmy się gdy chłopaki na siłę starali się nas połączyć. Spotykaliśmy się, odwiedzali. W końcu razem pojechaliśmy na spotkanie tezańskie do Pragi. Zdziwiła nas kolorystyka i piękno Pragi w porównaniu z szarością Krakowa (tak Kraków był wtedy szary i ponury). Modlitwy przenikały duszę, myśli i całe ciało człowieka. Byłem wniebowzięty. Irenka, Jiózku i ja oddzieliliśmy się od grupy i mieszkaliśmy z innymi ludźmi – w innej kwaterze [szkole]. Poznaliśmy tam dziewczyny ze Stargardu Gdańskiego. Byłem w stanie takiej miłości, że zabujałem się w Wiesi. Oczywiście Józek był na mnie wściekły bo chciał mnie połączyć z Irenką a tu nagle jakaś obca kobieta i znów z końca Polski. Było wesoło bo Józku potrafił ubawić towarzystwo do łez i ciągle robił śmieszne kawały chociaż często nie mogłem pojąć toku jego rozumowania, który rozmijał się ze sposobem postępowania [dla mnie to było nielogiczne]. Spotkanie się skończyło. Świeża moja miłość odjechała i wróciliśmy do Krakowa. Chodziłem na zajęcia, basen, treningi a wieczorem do Irenki. Była bardzo zaradna, potrafiła organizować ludzi i miała mnóstwo pomysłów na zorganizowanie czasu, występów, rozrywki ale jej wewnętrzne piękno było skryte dla obrony przed światem. Jak ja zawsze jestem otwarty na oścież i wszystko można po mnie poznać tak ona skrywała swe piękno gdzieś głęboko i

nadrabiała dobrą miną. Gdy zacząłem dostrzegać to piękno to aż mnie poraziło. Łaziło za nią trochę facetów ale nie pasowali do niej zupełnie chociaż niektórzy byli naprawdę zakochani i mimo, że im dawała znać, że nic z tego chłopaki byli dość wytrwali. Rozmawiała się nam wspaniale i stopniowo coraz to kolejne zasłonki spadały z mojej ukochanej. Czułem, że Maryja z dużą siłą przyciąga mnie do Ireny. Dokładnie tak to czułem. To było niepojęte. Serce mi topniało na samą myśl o Irence. Gdy dawniej zakochiwanie się było u mnie niczym wybuch bomby teraz ożył starożytny wulkan. Wybuchnąłem miłością tak wielką, że zwałała mnie z nóg. Jak pisałem od dziecka bardzo mocno czułem i czuję. To uczucie było jak wybuch wulkanu, jak tornado jak narodziny galaktyki. Znalazłem kobietę, którą mi Bóg przeznaczył w końcu znalazłem. Teraz zabrałem się za skorupki i zacząłem zbliżać się fizycznie do mej ukochanej. Przytulanie i całowanie w szyję to był pierwszy etap. Nie wiedziałem, że to jest takie naturalne i że ja to po prostu mam w genach jakbym to dobrze znał. Porywało nas to oboje. Stawaliśmy się jednym. Pocałunki w usta były kolejnym naszym przeżyciem. Badaliśmy swe usta jak piękne kwiaty. Posunęliśmy się do pieszczot, które pozwoliły nam poznać sekrety namiętności. Cudownej namiętności. I na tym był koniec bo i tak mimo że Ignęliśmy do siebie niepojęcie czuliśmy, że posunęliśmy się za daleko. Do ślubu nie posunęliśmy się dalej niż do pieszczot. Tak pragnęliśmy siebie, że samo intensywne przytulanie i pocałunki wznosiły nas na szczyt rozkoszy. To było niepojęte i cudowne. Przyszły wakacje. Byłem myślami, sercem i ciałem z Irenką. Gdy tylko skończyłem roboty w domu już byłem z Kielanowicach u Irenki. Przyjeżdżałem z praktyki. Ponieważ z wyjazdu do Francji nic nie wyszło kupiłem pierścionek zaręczynowy i z bijącym sercem oświadczyłem się na stryszku w Kielanowicach. Bałem się, że może mnie odrzucić. Była zaskoczona i zupełnie na to nie gotowa ale powiedziała tak. Nie wiedziałem co mam zrobić ze szczęścia. Zamieszkaliśmy razem aby zmniejszyć koszty. I tak spędziliśmy cudowny rok w Krakowie na Bydgoskiej. Byliśmy jak jedno. Zawsze i wszędzie razem. Życie było różowe i tylko zachwycająca miłość dominowała cały czas. Świat był wtedy dla nas nieustannie tak piękny i beztroski, że do dziś się nie mogę nadziwić, że takie coś można przeżywać. Ustaliliśmy czas ślubu na maj. Nietypowo ale chcieliśmy żeby właśnie w tym z najpiękniejszych miesięcy zawrzeć ślub. Własny ślub jest ogromnym przeżyciem. Zawsze wszystko mocno przeżywam tak i mocno przeżyłem nasz ślub. Ojciec Władysław Chaim i Ojciec Madeja udzielali nam ślubu przed Matką Boską Tuchowską. Nie zaprosiliśmy wszystkich znajomych. Z zaproszonych przyjechało kilkanaście osób ale wielu nie przyjechało. Okazało się, że inni mieli ochotę a ich nie zaprosiliśmy. No cóż nie dało się zaprosić wszystkich. Jakoś trzeba było wybierać. Pogoda była bardzo ładna. Słońce, zieleń i ciepełko. Tylko w pewnym momencie przyszła taka burza, że aż zerwało nam folię z namiotu gdzie tańczyliśmy. Stwierdziliśmy, że to zapowiedź burzy małżeńskiej. I burza była gdy zacząłem głośić co głośzę w 2000 roku i aż do 2002 roku gdy Irena cierpiąc nad moimi naukami, których nie pojmuje zadała i mnie cierpienie i ujrzała jak całymi dniami cierpię i umieram. Pewnie to był zwiastun tej burzy. Wesele było bezalkoholowe. Ale goście sobie radzili. Grześ Jędrzejek grał ze swoją orkiestrą i tak bawił ludzi, że wielu jeszcze długo wspominało jak świetnie bawili się na naszym weselu. Zaraz po weselu przewiozło się trochę materiału z Bliznego i zaczęła się budowa garażu. Garaż powstawał dość długo bo majster okazał się bardzo wolny w pracy. Jakoś to musiałem przetrzymać. Później pojechaliśmy na Pojezierze Drawskie do Bogdana Serafina brata Grześka. Spędziliśmy tam piękny tydzień. Jola żona Bogdana okazała się bardzo miłą i zaradną kobietą. Bogdan jest dobrze zorganizowanym gospodarzem na tle biednie wyglądającej wioski Dołgie, do której po rozwiązaniu PGR-u zaglądała bieda. Jakiś popijający sąsiad zakochał się w Irenie, piana żona zrobiła mu awanturę. Obraz rozpadu nie nastrajał optymistycznie ale myśmy byli tak ciągle zakochani, że nie psuło nam to humorów. Jeziorka i lasy i my dwoje. Odżyły wspomnienia ze spływu kajakowego. Kąpaliśmy się w różnych miejscach. Jednego dnia wybraliśmy się nad morze do Koszalina. Morze było za chłodne zdecydowanie wolałem jeziorka. Wody opadły odsłoniło się dużo kamienia skandynawskiego więc pojawiła się żyłka geologa – chodziłem i przebierałem kamienie. Krótki ale piękny wyjazd. Po naszym ślubie posypały się śluby naszych znajomych i rok po roku wielu się żeniło lub wychodziło za mąż tak, że ciągle bawiliśmy się. Poznawaliśmy swe ciała powoli bo Irenka była wrażliwa i dlatego daliśmy sobie czas podchodząc do tych

spraw bardzo delikatnie. W końcu po roku Irenka była w ciąży. Była szczęśliwa. Od razu spodziewałem się bliźniaków. Lekarz się nie dopatrywał dwójki dzieci ale jak dzieci w brzuszku podrosły to wyraźnie zauważyliśmy, że będą dwa. Lekarz dopiero zdziwił się w czasie porodu. Pojechałem 13 stycznia do WKU w Krakowie po przeniesienie do rezerwy bo absolwentów z naszego rocznika nie brali do wojska. Gdy wróciłem Irena zaczynała rodzić. Szybko zadzwoniłem do teścia i zawieźliśmy ją do szpitala. Urwałem się z roboty bo nie mogłem wysiedzieć spokojnie. Alek urodził się o 13-tej. Monika pół godziny później. Nie zdziwiło mnie, że jest dwoje. Ale mile mnie zaskoczyło, że od razu chłopak i dziewczynka. No to mieliśmy kompletną rodzinę.

6. Praca i poznanie prozy życia

Skończyły się studia. Zakończyliśmy 3 września 1993 budowę domu. Zacząłem szukać pracy lecz bez skutku. Jednocześnie robiłem porządki na placu budowy. Bardzo mnie stresowało, że nie można znaleźć pracy. W Krakowie miałem większe szanse. A i z terenu miałem kilka propozycji. Jednak chcieliśmy być razem. Już przed ślubem ustaliliśmy, że będziemy mieszkać k.Tuchowa chociaż ja miałem ochotę pozostać w Krakowie a z kolei mamusia upierała się bardzo żebyśmy po ślubie wyremontowali dom po dziadku i zamieszkali w Bliznem.

W końcu teść załatwił mi pracę w Wydziale Ochrony Środowiska w Urzędzie Wojewódzkim. Przyjęto mnie wg zasad zatrudniania absolwentów - z prac interwencyjnych. Moja pensja wystarczała na zapłacenie niańki, bilet miesięczny i zostawało mi 10 zł. Był to ciężki okres biedniutkiego życia, ciągłych długów i mieszkania w wilgoci garażu. Ale radziliśmy sobie jakoś. Nie to było dobijające. Dobijające okazała się konfrontacja mojego widzenia świata przez liczne szlachetne ideały i różowe okulary z bardzo brutalną rzeczywistością. To tak jakby mnie ktoś wywiózł na otwarte morze i wyrzucił za burtę. Od początku musiałem się wziąć za naukę i ostrą robotę. Artur Wałęga ciągle gdzieś znikał a przez kilka lat jedynie pisał numer decyzji na dokumentacji i tyle. Zacząłem więc porządkować papiery i pisać zaległe decyzje dla projektów i dokumentacji walających się stertami po całym biurze. W końcu przebrnąłem przez tę robotę. Na początku nie było koniunktury w geologii i geolodzy klepali biedę. Gdy w 1994 roku weszły nowe przepisy zaczęło się poprawiać. Marzyłem o uporządkowaniu archiwum i starałem się długo o pieniądze. Jednocześnie rozszerzałem ideę koncepcji wydzielonych zbiorników wód podziemnych i ich ochrony, wydzieliłem też kilka nowych zbiorników. W tym względzie współpracowałem czysto dla idei z Panią Mierzwą z Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego. Zauważyłem, że w robocie panują dziwne układy. Ludzie pokątnie robią fuchy i walczą ze sobą. Nie za bardzo mogłem to pojąć. Gdy z ZPNIg zaproponowano mi udział w budowie studni koło Szczepanowa zainteresowałem się tym tematem bo wydzielałem w tym rejonie zbiornik trzeciorzędowy i interesował mnie zasięg tego zbiornika a studnia miała być zlokalizowana na skraju wydzielanego obszaru. Studnię zrobili ale sposób filtrowania był kiepski według ich koncepcji, którą zrealizowali w terenie. Gdy spompowano płuczkę nagle zwierciadło zamiast opadać zaczęło zasuwać do góry i już miał nastąpić samowypływ. Niestety duże ciśnienie zerwało dolny filtr i powstał około 5 metrowy zasyp. Woda ujęta z górnego poziomu już nieartyzejskiego i tak wystarczyła dla potrzeb budowanej wierzy wiertniczej. Zrobiłem jeszcze kilka fuch stosując zasadę łazarza. Jeśli ktoś miał nadmiar roboty do dał mi parę groszy zarobić. Dla mnie wtedy nawet złotówka to było dużo. Ponieważ wiele robót szło bez projektów Artur W. wypuścił mnie bym skontrolował te sprawy u tarnowskich geologów. Znalazłem kilka spraw ale już przedawnionych. W końcu znalazłem i aktualną. Podałem sprawę do kolegium. Wygrałem. I wtedy zorientowałem się, że moja skrupulatność i pracowitość jest wykorzystywana do czyichś prywatnych porachunków. Wielu mówiło mi, że dzieje się źle bo istnieją niezdrowe układy, otwarta walka o robotę (fuchy) i wzajemne zwalczanie. Teraz w to uwierzyłem. Gdy zauważyłem, że A.W. działa z wybranymi ludźmi i nie pozwala zanosić wystraszonemu stronom niektórych dokumentacji na dziennik podawczy tylko trzyma to wszystko pod biurkiem zacząłem działać. Brałem każdy dokument, projekt, dokumentację czy wniosek i sam znosiłem na dziennik podawczy. A.W. zawsze

płakał jak to ludzie go niszczą i nie pozwalają żyć. Gdy zacząłem mu mieszać znalazłem się na liście jego wrogów. Spraw wtedy było dużo. Dziwni ludzie walczyli ze sobą nawzajem. Słyszałem o układach tu czy tam. O przekrętach. Gdzie ja jestem zacząłem się zastanawiać. Zaczynając walkę o to by wszystko trafiało na dziennik podawczy i by każdej stronie załatwiać pozytywnie sprawy bez jakiś dziwnych nadterminowych przetrzymywań dokumentów stałem się jednym z głównych wrogów. Dyrektor Andrzej Tokarski był zawsze otwarty. Na początku sam chciał po swojemu prowadzić sprawy ale gdy zorientował się, że musi bazować na wiedzy i doświadczeniu pracowników spokorniał i zawsze zasięgał rady podwładnych pracowników. Toczyła się na początku jakaś cicha walka pomiędzy dyrektorem a A.W. Z czasem zaczęły wychodzić jakieś dziwne sprawy z terenu i walka się zaostriżyła. Zaczęli się w tą walkę włączać ludzie z terenu powiązani układami. Włączył się Pan Jarosz wiecznie podpity i niezadowolony z niczego. Skupiło się to na całym wydziale. Demony wyszły z ludzi. Gdy widziałem jak wielu otacza się płaszczem nienawiści, zawiści, wściekłości i jakiegoś dziwnego lęku byłem przerażony i strwożony ale odważny. Ataki zaczęły płynąć nie wiadomo nawet skąd. Inspekcje i prokuratura zaczęła badać sprawy fuch i męczyć poszczególnych ludzi. Badano sprawę rzekomej próby dyrektora wymuszenia na niejakiemu Panu Łazarskim wysokiej łapówki. Sprawy były rozjątrzane i coraz to nowi ludzie wpuszczani w temat. Trwało to latami. Miałem tego serdecznie dość. Byłem zdruzgotany do czego są zdolni ludzie. Wszyscy byli zaszczuci. Zastraszanie wielu osób było na porządku dziennym. Gdy mnie próbowano zastraszyć zdenerwowałem się i byłem gotów przyłać Panu A.W. Wtedy usłyszałem, że ma on takie układy, że ucho dyrektora przyniesliby mu w zębach. Przesłuchiowano wszystkich pracowników wydziału. Mnie wiele razy i przez kilka lat. Mówiłem to co wiem zawsze trzymając się prawdy. Tak robili i inni pracownicy wydziału, którzy bronili dyrektora. Dlatego nawet po długim czasie te zeznania były spójne. Ci którzy atakowali za każdym razem zmieniali zeznania i łgali strasznie tak, że jak się porównywało to co mówili wcześniej i później to okazywało się, że muszą kłamać bo sami sobie zaprzeczają. Gdy zacząłem mówić w prokuraturze o pewnych sprawach to nie notowano tylko stwierdzano, że to jest odrębna sprawa i ich to nie interesuje. Dlatego zastanawiałem się czy i prokuratura jest w tym bezstronna. Pani sędzia na pewno bezstronna nie była ale to szło podobno zupełnie koleżeńskimi kanałami. Przeniesiono pana A.W. a mnie chciano wziąć na jego miejsce. Już od dawna miałem odejść do pracy do pana Adama Dudy ale chciałem by upłynął czas niezbędny do uzyskania uprawnień. Zgodziłem się jedynie pozostać do czasu zaadoptowania się w pracy nowego pracownika Krzysia Nowaka i do czasu zakończenia kontroli przez pracowników Ministerstwa i NIK. Tak byłem wykończony tym co przeżyłem, że myślałem, że umrę na zawał. Serce tak dostało popalić, że ledwie się kołatało w piersi. Odbijało się to i na rodzinie bo nie tryskałem szczęściem i radością. Proces zakończył się gdy już byłem w nowej pracy. Wyrok był tak zaskakujący, że nikt nie mógł w to uwierzyć, a uzasadnienie wyroku urągało nie tylko sprawiedliwości ale nawet zdrowemu rozsądkowi. Pan Andrzej Tokarski w czasie odczytywania wyroku dostał zawału. Spotkało go jeszcze kolejne nieszczęście bo jego żona zginęła w wypadku. Było nam Go bardzo szkoda z powodu tych licznych nieszczęść. Poznałem w swej pierwszej pracy również ludzi wspomniałych. Wiele z tych osób było zawsze otwartych i serdecznych, gotowych do pomocy. Dzięki tym liczny osobom podciągnąłem się w sprawach prawa. Zawsze byłem zajęty to pracą to zapoznawaniem się z komputerem i programami fachowymi. Na rozmowy nie miałem więc wiele czasu. Miło było czasami pogadać z Ewą, Elą, Piotrkim Zielińskim czy Baczyńskim. Również z Gosią Cieślą i Krzysiem Nowakiem toczyłem rozmowy o pracy i życiu bo z nimi pracowałem w jednym pokoju. Krzysio jest działaczem na niwie polityki i od zawsze liczni ludzie usiłują mu szkodzić. Uważam, że wyznaje zbyt spiskową teorię dziejów. Jest człowiekiem niezależnym i chodzi swymi drogami poza niezdrowymi układami. Przy swym dość radykalnym charakterze jest więc izolowany, zresztą podobnie jak jestem izolowany i ja. Gdy ktoś zawsze się uśmiecha, umie się 'dzielić' (czyli dawać łapówki lub tworzyć mafijne czy na wpół mafijne układy) to zawsze gdzieś w którymś układzie się utrzyma. Ludzie którzy otwarcie wyrażają swą opinię nie są często mile widziani. A jeśli do tego wyznają twarde zasady to mogą często natrafić w dzisiejszym świecie napiętowanym żądzami, nieprawością i układami na szereg kłopotów.

Gdy zaproponowano mi zajęcie miejsca Pana A.W. wielu mówiło mi żeby wziąć to stanowisko to będę mógł rządzić pracami w terenie. Nie miałem ochoty utrzymywać dawnych niezdrowych układów, którym wydałem walkę. Byłem przekonany, że po całym zamieszaniu już żadnych niezdrowych układów nie będzie i że to się zmieni. Ludzie jednak się nie zmieniają. Wtedy i nawet dziś w wielu urzędach bito się o inwestorów tym samym nie pozwalając by ludzie w terenie mogli wykonywać pracę. Jeśli wykonywali to wybrani. Wprowadziliśmy z koleżanką zasadę tworzenia listy wykonawców na terenie naszego województwa. Utworzyliśmy listę tych, którzy wykonywali roboty i co jakiś czas dopisywaliśmy kogoś nowego. Na liście było kilkadziesiąt firm i prywatnych geologów. Każdy kto pytał o wykonawców dostawał listę. Byliśmy więc bezstronni. Wielu zgrzytało zębami na taką listę bo woleli być wybrani. W geologii było wtedy dużo roboty. Ja klepałem biedę i każde 100 zł to był dla mnie straszny majątek. Mieliśmy non stop długi, które tylko rosły. Bieda była taka, że nawet nie było mnie stać na jogurt. Jadłem tylko serek topiony bo był najtańszy – do obrzydzenia. Przez długie lata chodziliśmy w ubraniach ze studiów, aż się zdarły. Później Irena kupowała w ciuchlandzie. W zasadzie dopiero od dwu lat większość ubrań kupujemy w sklepie. Dostałem kilka fuch do zrobienia od kilku geologów zupełnie bezinteresownie [przynajmniej nie dawali po sobie tego poznać] bo znali moją ciężką sytuację materialną. Były i dwa przypadki, że po zrobieniu całej pracy zasugerowano mi delikatnie aby nagrywać roboty. W jednym przypadku tak się zdenerwowałem, że w pewnej chwili zorientowałem się, że stoję i mówię podniesionym głosem. W drugim przypadku – dość patologicznym – zdecydowanie odmówiłem i dałem do zrozumienia, że dawne układy umarły. Męczyło mnie to, że zrobiłem kilka fuch. W kilka miesięcy po zmianie pracy zarobiłem więcej niż przez trzy lata pracy w urzędzie łącznie ze zrobieniem kilku fuch. Robienie fuch było dla mnie straszną udręką i nie mogłem się z tym pogodzić. Jednocześnie buntowałem się, że nie daje się młodym ludziom szansy na godne zarobki i utrzymanie rodziny. Za każdy zarobioną dodatkowo złotówkę ciężko zapłaciłem nie tylko wewnętrzną męką ale i zmaganiem z niegodziwością ludzką, która długo mnie ścigała. Fermenty w pracy wciąż się utrzymywały chociaż główne osoby wprowadzające konflikty odeszły. Widząc, że w ten sposób nie da się spokojnie żyć i pracować postanowiłem odejść tym bardziej że Pan Adam Duda był chętny przyjąć mnie z otwartymi ramionami bo potrzebował geologa z uprawnieniami i wiedzą, a ja już miałem uprawnienia z geologii inżynierskiej. Zmieniłem pracę i odetchnąłem chociaż na chwilę. Założyłem własną działalność gospodarczą. Brakowało mi wcześniej praktyki w terenie i teraz to już miałem. Poprawiła mi się sytuacja finansowa. Zacząłem szybciej spłacać długi i śmiało pożyczyłem od ludzi kolejne pieniądze. Praca w Hydrodolu głównie dla Zakładów Azotowych. Tematów dużo. Główne tematy to zanieczyszczenia i sieci monitoringu, ochrona środowiska, ujęcie wody oraz trochę geotechniki. Przez kilka lat wiele tematów było rozwijanych. Nawet jeśli na azotach nie chciano realizować jakiegoś tematu udawało się nam ich przekonać. Siadała grupka ludzi a ja z pomocą innych referowałem konieczność realizacji tematu. Po jakimś czasie to chwyciło. Wiele tematów wynikało samych. I tak robota cały czas była. Boguś Kaczor zawsze wesoły. Raczej bardziej garnał się do warsztatu czy w teren niż do realizacji tematów przy komputerze więc większość pracy spadała na mnie - pomysł i realizacja tematu. Gdy przyszła Dorota to praca szła znacznie lepiej bo ta bardzo energiczna dziewczyna wniosła do pracy dużą werwę i swoją inicjatywę. Pani Grażynka była zawsze zasadnicza ale dało się z nią dogadać. Oczywiście najbardziej lubiłem Edytę Kozłowską (Nasiadka). To bardzo dobra dziewczyna wesoła i z dużą energią do pracy papierkowej jako księgowia. Z ludźmi z załogi zawsze się dogadywałem. Zwłaszcza Pan Witek wesoły i życzliwy człowiek mógł ze mną pomówić na tematy niesamowite, które do innych w ogóle nie docierały. To Pan Witek w dużej mierze pomógł mi w moich poszukiwaniach istoty Boga dając mi trzy książki o inkarnacji Pana Najwyższego. Świeć Panie nad Jego dobrą duszą. Nie lubiłem za bardzo plotek bo coś takiego mnie męczy. Ale kilka razy gdy się rozżaliłem i widziałem, że nie szanuje się pracy i wiele tematów nam ucieka to sobie i ponarzekałem. Generalnie starałem się te sprawy zdecydowanie tamować.

Prowadząc działalność gospodarczą przyjąłem zasadę odcinania się od wszelkich układów i szukania pracy poza układami. Istoty prawdziwie święte i istoty z nieba mają tak czyste

i jasne sumienia, że każdy grzech i słabość odczuwają jako potężną udrękę dlatego stosują w życiu twarde zasady aby swej świętości nie stracić. Twarde zasady powodują jednak, że ludzie stronią od ciebie bo wolą żyć bez trudności i bólu. Dlatego bycie niezależnym i jednocześnie utrzymywanie się na rynku graniczy z cudem i tak jest do dziś. Dzięki życzliwym i bezinteresownym ludziom mogłem takie prace jednak zdobywać. Moje usługi były bardzo tanie w stosunku do panujących cen. Mnie to jednak zadawała. Trochę izolowany przez liczne środowiska, a nawet nieufnie traktowany przez licznych urzędników, którzy znali już moje zasady postępowania musiałem się uczyć sam. Nie było starszych doświadczonych kolegów aby się od nich uczyć. Przez pewien czas współpracowałem z Panem Bronisławem Pawlikowskim i wtedy trochę się od niego nauczyłem. Do dokumentacji w archiwum nie można było już dotrzeć zbyt łatwo. Tak więc uczyłem się na własnych błędach często korzystając z pomocy kolegi Józia Magdonia, który uczył się tak jak ja lecz mógł dotrzeć do większej ilości materiałów. Ponadto wprowadzane w zastraszającym tempie zmiany przepisów prawnych nie pomagały w nauce lecz ciągle się okazywało, że już to i tamto jest nieaktualne i trzeba do tematu podchodzić zupełnie inaczej. Takie szalone tempo zmiany przepisów istnieje do dziś i po 10 latach nieustannych zmian trudno mieć nadzieję, że to się kiedyś zmieni. Pracowałem dzień i noc. Za dnia w pracy. Po południami i w soboty w terenie i domu. Po kilkanaście godzin przy komputerze. Oddawałem długi. Pożyczałem i znów w coś inwestowałem. I znów pracowałem by oddać długi. Fizycznie to ruszałem się już tylko pomagając czasami w polu. To było za mało. Pojawiły się kłopoty z przemęczonymi oczami, kłopoty z kręgosłupem, kłopoty z nogami tak że nie mogłem usiąść. O niedobrze ! Wróciłem więc do ćwiczeń. Trochę biegałem. Jeździłem na seminaria ju-jutsu do Krakowa, chodziłem na basen, czasami zagrałem ze szwagrem w koszykówkę. Odżyłem.

Jako obowiązkowa osoba zawsze starałem się aby robota była na czas. Gdy wymagano poprawy to nawet jeśli się z tym nie zgadzałem to szybko poprawiałem. Jakoś musiałem przeboleć, że szedłem na pierwszy ogień gdy nagle coś sprawdzali. Nie byłem wybrany więc mogłem się tego spodziewać. I tak się zdarzało, że byłem prekursorem, któremu sprawdzano to czego nie sprawdzano innym. Walka z zasadą równych i równiejszych wciąż niestety nie mogła mnie ominąć. Ja takiej walki unikałem ale niestety gdy sytuacja przyprze człowieka do muru już nie ma wyjścia. I tak było, że działy się różne rzeczy. Zwalczanie konkurencji, dokuczanie komuś kogo się nie lubi lub komu się chce często bezinteresownie dokopać wciąż obowiązują. To mnie boli bo moje serce jest czyste i pragnąłbym by w tym świecie czegoś takiego nie było. Niestety tak nie jest. Z tego powodu często sprawy wydawały się nie do rozwiązania. Nawet nie było potrzeby doszukiwać się złych intencji. One same wychodziły z czasem. Niejednoznacznie interpretowane zawiłe prawo i często niegodziwość sprawiały, że wciąż trafiało się na mur i sprawy nie dawało się załatwić. Wtedy zaczynałem działać zdecydowanie. I nawet jeśli przeciwnicy wymyślali dziesiątki powodów by sprawy nie można było załatwić nie poddawałem się tak długo jak nie poddawał się inwestor dla którego opracowywałem dokumenty. Pewną sprawę załatwialiśmy trzy lata. Gdy jeden z wójtów wymyślał wiele sposobów by utrudnić konkurentowi załatwienie sprawy walczyliśmy. Nasze pisma były coraz bardziej ostre. A kiedyś na zebraniu w terenie gdy wójt zaczął strasznie mataczyć to aż doszło do twardych słów. W końcu sprawę dało się załatwić gdy zaczęliśmy wszystko nazywać po imieniu i ukazywać cel niedopuszczenia konkurenta do uzyskania koncesji. Najgorzej niestety było w samorządach lokalnych bo wielu wójtów realizowało często swoją prywatną politykę lub politykę związaną z jakimiś układami i zobowiązaniami i sprawy często szły bardzo opornie. W takich totalitarnych układach zwykły urzędnik bał się o pracę bo najdrobniejsza rzecz go stresowała i ze sprawy zwykłej robiła się sprawa o najwyższej państwowej wadze. Zwykły błąd urastał do rangi nadzwyczajnego wykroczenia. Ludzie w terenie też są nauczeni kombinować – spadek po komunizmie. I dlatego wielu spraw nie daje się łatwo wytłumaczyć i zrobić dobrze do końca. Często mówiłem, że trzeba zrobić to czy to lub nie powinno się robić tego czy tego. Ale gdy widziałem, że się nie dociera to w końcu odpuszczałem i przestawałem tłumaczyć bo mnie nie słyszano. Trudny jest ten lud i sam sobie tworzy górę problemów. Pracować w takich warunkach nie jest łatwo i trzeba mieć dużą odporność. Gdy dziś tak

patrzę na ostatnie 10 lat to widzę, że stworzyliśmy sobie nieludzkie prawa i nieludzkie procedury i zamiast to upraszczać to się to coraz bardziej komplikuje. Był okres, że Zakłady Azotowe jeszcze były w dość dobrej kondycji. Zastanawialiśmy się tylko czy zakład macierzysty wytrzyma dużą żarłoczność spółek pracujących jako wykonawcy dla zakładu matki. Widać było, że wszystko to jest też oparte na układach i z zewnątrz nikt się do roboty nie przeciwie. To żerowanie na zakładzie macierzystym i komunistyczne metody gospodarowania nie mogły się dobrze skończyć. I tak zaczęły być widoczne pierwsze symptomy kryzysu i podupadania zakładu, a tym samym kłopoty dla tych, którzy wykonywali prace dla azotów. Jak wcześniej w pracy wszyscy się dogadywali tak teraz szef miewał coraz gorszy humor a pracy było coraz mniej. Weszła sprawa zusów i tu też pojawiło się kolejne źródło niezgody. Mieliśmy się dogadać pozytywnie ale po wysłaniu nas na urlopy bezpłatne stało się wiadome, że nie będzie lekko i kogoś trzeba będzie zwolnić. Ja sobie dość dobrze radziłem w swej działalności i ciągnięcie robót na dwa fronty kosztowało mnie wiele energii. Oczywiście miałem przemęczone od ciągłego siedzenia w pracy i w domu przed komputerem. Zdecydowałem się więc odejść. I tak zrobiłem. Rozstaliśmy się spokojnie i zawsze nasze kontakty były bardzo dobre. Zresztą zakres prac, które ja wykonywałem nie kolidował z pracami Hydrodolu. Praca tylko na swoim okazała się dość kosztownym działaniem. Radziłem sobie jakoś. Zawsze miałem bardzo niskie ceny usług i teraz musiałem się podnieść. Mimo tego było coraz ciężiej. Zdecydowałem się zaangażować w pracę jako agent ubezpieczeniowy dla Allianza. Czułem jednak, że nie nadaję się do tego. A i co poniedziałkowe wyjazdy do Krakowa zabierały mi jeden dzień. System był zbyt scentralizowany tak, że wiele dokumentów nie docierało i nie można się było porozumieć z centralą w Warszawie. Dopóki było jeszcze OFE pracowałem. Później zrezygnowałem z tej pracy gdy wyszło kilka nieporozumień, których nie byłem w stanie wyjaśnić bo nikt na moje uwagi i listy nie odpowiadał chociaż żądane uzupełnienia zostały wykonane. Lubiłem ludzi ze swej grupy. Ela Dworak była miłą i życzliwą osobą. Krzysz Rotnicki miał swoją klasę. Zawsze życzliwy i wesoły. Kiedyś mnie szczerze rozśmieszył gdy po imprezie w czasie zjazdu w Mikołajkach powiedział; 'gdybym Jacek chciał od ciebie pożyczyć pieniądze to mi nie pożyczaj bo pożyczam cudze a muszę oddać swoje co mi niełatwo przychodzi'. Po zjeździe w Mikołajkach stwierdziłem, że naprawdę ciężko mi będzie się w tej pracy odnaleźć. Więc zrezygnowałem i usiłowałem radzić sobie w geologii. Usiłuję do dziś chociaż jest coraz ciężiej i ciężiej. Z roku na rok ta branża, zwłaszcza w rejonie Tarnowa podupada.

7. Dzieci i budowanie gniazda rodzinnego

Po narodzeniu bliźniaków trzy miesiące mieszkaliśmy u teściów. Bliźniaki tak samo jak Lucjan zostały ochrzczone w naszej Burzyńskiej Parafii Św. Józefa przez świętego człowieka Księdza Dziekana Jana Czaję, który jak dziesiątki milionów świętych wskrzeszony w tych ostatnich dniach przybył z nieba. Wszyscy byli zachwyceni dwójką dzieci. Nosili je na rękach i pieścili. Było nas 12 osób w jednym domu. Alek był tak śliczny i delikatny, że najbardziej on był rozpieszczany. Nic nie pomagało gdy prosiłem żeby ich tak nie nosili ciągle na rękach. W nocy dawały w kość i na zmianę się budziły. Na początku Irena była wykończona i pocięta więc praktycznie całymi nocami nie sypiałem. W końcu ustaliliśmy, że ona wstaje wieczorami i po północy wtedy gdy zazwyczaj słabo śpi [ja wtedy śpię jak zabity]. Rano kiedy ona śpi dobrze a ja mam już słaby sen to ja będę się zajmował dziećmi. Po takim podziale obowiązków odżyliśmy trochę. Dzieci kąpałem sam bo takie były kruszynki, że wszyscy bali się je kąpać. Teściowa przygotowywała wodę. Ale uwielbiał się kąpać. Monika z kolei strasznie wrzeszczała przy kąpielach. Mówię do teściowej 'mamo za gorąca woda !' ale teściowa uważała, że jest taka jak powinna. W końcu sam nalałem chłodnej wody. Monika przestała się wydzierać. Nie chciała sobie jednak dać umyć głowy. Jeszcze wiele lat była walka z myciem głowy i histerie Moniki nawet Alek zaczął ją naśladować. Zastanawialiśmy się czy może w szpitalu ją podtopili czy co bo to co wyprawiała przy myciu głowy to było coś okropnego. Trzeba było myć dziecko prędiutko i na siłę bo tak czy siak zawsze było źle. Przenieśliśmy się do wilgotnego garażu. A tu dzieci domagają się noszenia non stop. Wracam z pracy. Dzieci

się wydzierają bo żądają ciągłego noszenia. Irena załamana i w depresji poporodowej. Jedzenia nie ma. Sterta zasranych pieluch (nasza woda w studni nie była najlepsza i dzieci miały często biegunkę). W pracy też ciągle jakieś numery, brak spokoju i ciągłe jątrzenia więc nie wracam tryskający dobrym humorem. Jestem wściekły i załamany. A tu trzeba iść na budowę coś porobić. Biorę dzieci. Irena coś szybko przygotowuje do jedzenia. Pomagam jej wyprać pieluchy [praliśmy wszystko ręcznie] i biegnę na budowę by do późna w nocy coś robić. Długi i brak pieniędzy. Nieustanna wilgoć i ciasnota w garażu. W końcu tak mnie zdenerwował ten terror dzieci, że całej rodzinie zabroniłem ich nosić na rękach. Przynajmniej przy mnie tego nie robili. Dwa tygodnie wrzask straszny. W końcu dzieciaki odpuściły. Zrobiło się znacznie lżej bo można było przy nich już coś w miarę spokojnie zrobić. Irena poszła do pracy i wynajęliśmy niańkę Panią Jiózię. Doszły dodatkowe wydatki. Więc klepało się jeszcze większą biedę. Udało mi się zrobić kilka tematów za parę groszy ale biednie było cały czas. Dopiero zmiana pracy i założenie działalności tak poprawiły na pewien czas naszą sytuację, że szybko spłaciłem duże długi. Przez dwa i pół roku mieszkaliśmy w garażu. Ciocia Karola, która na wiosnę przenosi się z Poznania do Burzyna i mieszka na górcie nad nami pomagała nam bawić dzieci. Gdy podrastały moja miłość ojcowska zaczynała wzrastać także. Później udało się przenieść do domu z wykończoną kuchnią, jednym pokojem i wc. Odżyliśmy znacznie. Nie planowaliśmy Lucjana. W pewnym momencie Irena stwierdziła, że pewnie jest w ciąży. Okazało się, że faktycznie. Pewnie nie pilnowaliśmy się zbyt dobrze. A poza tym mówią, że 'w nowym domu nowe dziecko'. Bardzo się ucieszyliśmy. Stwierdziliśmy, że już jest tak dobrze, że teraz to spokojnie możemy mieć kolejne dziecko. Dzieciaki już opuściły łóżeczko i spały z nami na jednym łóżku. Spaliśmy w poprzek łóżka. My w środku z nogami na fotelu a dzieciaki po bokach. Stare łóżeczko było gotowe na nowego członka rodziny. Irena stwierdziła, że jeśli będzie dziewczynka to będzie miała na imię Faustyna. Nie przeszkadzało mi to. W końcu to niepojęta święta mistyczka naszych czasów. Rodzinie ten pomysł nie bardzo się podobał. Nawet żartowali, że wszyscy się modlą żeby był chłopak. I urodził się 25.10.1996 chłopak. Śliczny. Od razu wszyscy go pokochali. Zaczęliśmy przeglądać kalendarz żeby znaleźć dla niego imię. Nic nie pasowało tylko LUCJAN. Światłość od niego biła bo nią jest więc i imię bardzo pasowało. Zresztą imieniny wypadają 26 października dzień po urodzinach [u mnie są w tym samym dniu – obchodzę Jacka]. Poczułem tak ogromną miłość do tego dziecka, że dziękowałem Bogu że jest. Był to dla mnie czas bardzo ciężkich przeżyć w pracy i myślałem, że umrę serce mnie ciągle bolało, straciłem siły i byłem wycieńczony. A tu nagle taka miłość i radość. Mój tatuś jeszcze miał możliwość być na chrzcinach Lucjana. Później przyszła zima i tatuś zmarł na zawał niejako na stanowisku pracy. Lucjan stał się oczkiem w głowie. Alek nie był już tak hołubiony więc zaczął się wyżywać na młodszym bracie. Trzeba było wciąż pilnować żeby go nie skrzywdził. Monika poczuła najwyraźniej instynkty macierzyńskie i jak wcześniej wołała się bawić takimi zabawkami jak chłopaki to teraz ciągnęło ją w kierunku zabaw dziewczęcych. Zaczęła interesować się lalkami, a zwłaszcza chciała pomagać przy opiece nad braciszkiem. Bliźniaki spały już na swoim łóżku, a my z Lucjanem. Lucjan spał z nami do piątego roku życia. W zasadzie to niedawno udało się go wyrzucić i śpi z Alkiem a Monika sama. Z Alkiem po urodzeniu się Lucjana nie było lekko. Taki był obrażony na brata i na nas wszystkich, że jak wcześniej ciągle był pieszczony teraz nie dał się tknąć i ciągle się obrażał. Jeszcze teraz ma chłopak z tym obrażaniem i płakaniem nad sobą problemy. Zdecydowanie to z niego vypleniemy żeby nie wyrósł na samolubnego wiecznie myślącego o swych urojonych nieszczęściach człowieka. Udaje się. Nie obraża się już bez przerwy i coraz mniej nad sobą płacze. Odkąd chodzi do szkoły poczynił w zakresie pracy nad sobą duże postępy.

Jak moje największe zmartwienia w okresie urodzenia Lucjana się kończyły tak Irenki zaczynały. Jest polonistką bardzo zakochaną w literaturze, polskich tradycjach i kulturze. Udziela się od zawsze w sprawach artystycznych, a i w polityce tak jak jej tata Leon Leś. Zresztą tradycje są rodzinne bo jej dziadek Józef był bezpośrednim współpracownikiem Wincentego Witosa. Jak wiadomo stosunki w szkołach są obecnie naganne nie tylko pomiędzy uczniami ale niestety często pomiędzy nauczycielami. Jedno implikuje drugie. Nie zawsze i nie wszędzie. Lecz jeśli te stosunki takie są to trudno aby jeden wspierał drugiego w trudnych doświadczeniach. Gdy komuś coś zarzucają lub spotka go jakieś

niepowodzenie inni tchórzliwie odsuwają się od delikwenta szczęśliwi, że to nie ich spotkało. Wcześniej czy później spotyka każdego bo za tchórzostwo się płaci bardzo szybko. W obecnym czasie nieludzkiego podejścia do tzw praw dziecka i rządzenia w szkołach na zasadzie zbyt dużego moim zdaniem wtrącania się rodziców [też niewychowanych], układów [jak wszędzie], wymyślenia absurdalnej pracy papierkowej [która wylądowała w koszu lub posłuży urzędnikom, którzy chcą lub muszą się twórczo wykazać do wymyślenia nauczycielom kolejnych zbędnych i uciążliwych zadań – i tak bez końca] i przede wszystkim strachu istnieje samonapędzający się system postępującej głupoty. Prawa ucznia i wykazanie się, że wyniki pracy są wspaniałe są ważniejsze niż skoncentrowanie się na nauczaniu i wychowaniu bez upiększania sprawy. Irena wymaga bardzo dużo co w małym środowisku nie jest często wygodne. Jedynek daje często gdy nie ma już możliwości wydobyć z ucznia jakiegokolwiek wiedzy czy chęci do nauki. Po urodzeniu Lucjana był przypadek, że dziewczyna która dostała jedynkę od Ireny usiłowała popełnić samobójstwo – odratowano ją. Wszystko skupiło się na Irenie. Wszyscy się od Ireny odsunęli. To, że rodzina dziewczyny jest rozbita, że dziewczyna piła, brała narkotyki, zadawała się z satanistami i przede wszystkim, że się nie uczyła nie miało znaczenia. Zaraz było dochodzenie; a co nauczyciel powiedział, jak się popatrzył, czy nie dyskryminował itp. Od razu są świadkowie jak spod ziemi i nauczyciel jest napiętnowany. Jak ja przedtem byłem zdruzgotany tak była teraz Irena. Najbardziej ją bolało to, że ludzie odsunęli się od niej – czego się nie spodziewała. Powiedziałem twardo, że 'idziesz na urlop wychowawczy bo nie będę patrzył jak się wykańczasz. Jakoś na nas zarobisz' [zasilek jej nie przysługiwał]. Na urlopie zaczęła odżywać. W końcu postanowiła zacząć się dodatkowo szkolić. Ubezpieczenia, public relation, negocjacje, asertywność. Kosztowało nas to większość oszczędności lecz Irena dzięki temu szybko poczuła swą wartość. Zajęła się ubezpieczeniami i organizowaniem grupy OFE Kredyt Banku. Szło to opornie ale tym bardziej ją to mobilizowało. Uwierzyła, że może sobie dać rady i dawała. Później ubezpieczenia odpuściła i nie szukała już nowych klientów. Wróciła do szkoły silna. Angażowała się i angażuje w organizowanie imprez i występów artystycznych. Stała się tak niezależna, że żaden układ, terroryzowanie czy straszenie nie mają na nią wpływu. Jest postrzegana jako silna indywidualność chodząca swoimi drogami. Po ostatnich naszych wydarzeniach koleżki przewalili ją 'modliszka'. Zorganizowała grupę Forum Młodych Ludowców. Wciąż usiłuje organizować ludzi, choćby na wspólne wyjazdy. Widzę ile czasu, energii a i kosztów w to wkłada i jak opornie to zazwyczaj idzie. Lecz nawet to, że obecnie ruszyć ludzi do czegokolwiek graniczy z cudem nie

zniechęca

ją.

Lucjan od początku był bardzo pogodny. Radosny i promienisty. Robiłem trochę zdjęć i nawet na zdjęciach widoczna jest ta jego naturalność i promiennosc. Uwielbiał się kąpać. Wniósł tyle ciepła i radości, że miłość w rodzinie bardzo się umocniła a rany spowodowane wieloma niepowodzeniami i ciężarami życia szybko zabiły. Gdy troszeczkę podrosł chciał się bawić ze starszymi dziećmi. A jest w okolicy trochę dzieci. Bywał czas, że nawet ponad 10-ro biegało po domu. Teraz mniej się odwiedzają. Niestety starsze dzieci nie bardzo przyjmowały do grupy młodszego i przy byle okazji go odpychały i porzucały. Lucjan zaczął przechodzić coś podobnego do tego co i ja w swym dzieciństwie. Garnął się do ludzi a ci go nie chcieli. Zaczął się więc wściekać. Jak nigdy wcześniej nawet raz nie był nerwowy tak teraz inne dzieci do tego go doprowadzały, że musiał wywalczyć sobie jakąś pozycję w grupie. Widząc to zaczęliśmy uczyć Monikę i Alka jak mają traktować w grupie swego brata i go chronić przed złośliwością innych dzieci. Trochę może to a głównie zdecydowanie Lucjana i to że jest tak bezpośrednim dzieckiem sprawiło, że został przez grupę przyjęty. Nawet teraz w przedszkolu jest lubiany przez dzieciaki. Jego delikatność i miłość którą emanuje są zadziwiające. Tak wiele razy doświadczyłem tej emanującej od niego miłości, że długo dziwiłem się co za anioła dobry Bóg przysłał na Ziemię i to w chwili moich najcięższych załamań. Gdy byłem w depresji i nie czułem nic poza potwornym bólem ciała, psychiki i ducha on ciągle mnie przytulał. Nawet Monika i Alek przytulali się wtedy bardzo dużo. Gdy pod koniec 2002 roku pokonałem depresję i nastąpił nagły napływ energii co sprawiło, że zacząłem szybko pisać dużo zadziwiających rzeczy Lucjan krążył wokół mnie i wieszał się na mnie nieustannie mówiąc mi, że mnie kocha. Emanował przy tym taką miłością, że długo nie

mogłem pojąć co to jest. Pojąłem gdy napłynęła do mnie potężna świadomość, że mam w domu awatara króla wiecznej światłości. Chudziutki i niewysoki. Je bardzo mało tak jak i ja w dzieciństwie. Czasami wręcz zmusza się go by coś zjadł. W przedszkolu wśród innych dzieci je więcej. Potrafi się denerwować i walczyć o swoje. Z dziećmi często się mocią i biją. Wciągają w to często mnie i walczymy w formie zabawy razem. Czasami w czasie takiej zabawy jest lekki uraz. Zresztą energia dzieciaki rozpycha. Mają niespożyta energię. Trochę daję im pracy w domu by się nauczyli obowiązkowości. Mogą się bawić na podwórku. Ale i tak energii im nie brakuje. Dawniej całymi dniami siedziały w piaskownicy. Tak, że piasek był w ubraniach we włosach wszędzie w całym domu, a i kupa często składała się z samego piasku. Teraz piasek sobie odpuścili. Wolą zabawę i komputer. Mogą grać tylko w kilka gier gdzie nie ma brutalności tak samo jak nie pozwalam im oglądać brutalnych bajek. Nawet był czas, że mocno z Ireną się ścierałem żeby nie oglądały w niedziele bajek Disneja. Irena jest zdecydowana w swych działaniach więc czasami muszę ustąpić. W zasadniczych sprawach jednak nigdy nie ustępuję co musiała jakoś zaakceptować. Lucjan podraślał a nam udawało się spłacać długi, budować dalej dom i nawet kupić najpierw starą renówkę, a potem małego Kia pride'a. Wychowanie dzieci zawsze musi się kierować zasadą marchewki i kija. Nawet boskie dziecko wymaga takiego wychowania. Zresztą każde jest boskie i każde ma kiedyś osiągnąć i zrealizować swoją świętość. Dziecko rodzi się już charakterem ukształtowanym w poprzednich żywotach. A w tym żywocie ten charakter ma się dalej rozwinąć i ma też służyć spełnieniu powołania z jakim dana osoba przyszła na ziemię. Okres buntu bliźniaki przeszły dość wcześnie. Lucjan poza walką o zaadoptowanie przez grupę długo bunt nie wykazywał. Już nawet myślałem, że żadnego buntu nie wykaże. Wykazywał za to i wykazuje ogromne współczucie i po dziecięcemu źle reaguje na najdrobniejszy jego zdaniem objaw niesprawiedliwości. Pięknie, że jest tak wrażliwy. Bunt pojawił się gdy miał już pięć lat. I do dziś czasami się buntuje. Monika jest zawsze towarzyska i otwarta i tym pewnie szybko zdobywa sympatię ludzi. Alek trzyma się raczej na dystans. Jest bardziej skryty i łatwo się obraża. Gdy poszedł do szkoły to w pierwszym dniu stoczył walkę z kolegą ze starszej klasy. Wrócił rozżalony. Nie żałowałem go lecz nagadałem mu i powiedziałem, że jak tak zaczął szkołę to teraz sam musi sobie z tym poradzić i konflikty, które zaczął załagodzić co nie będzie łatwe. Jeszcze kilka razy się skarżył ale zawsze reagowałem w ten sam sposób. Dobrze wiem, że litowanie się przyniosłoby zły skutek. Tym bardziej, że klasa bliźniaków jest jedną z najmniej grzecznych w szkole – co wszyscy, a zwłaszcza Pani wychowawczyni długo odczuwali. Podobno się już poprawia. Niestety nie wszyscy rodzice stosują taką zasadę. Wchodząc do przedszkola już w szatni zauważam nadopiekuńczość rodziców. Zamiast pozwolić dziecku by samo się rozebrało lub ubrało to rodzice obsługują dziecko jakby było kaleką. Najlepiej kiedyś zareagował szwagier Bartek gdy nadopiekuńcza teściowa tak traktowała jego dziecko 'mama daj dziecku spokój. Rączki ma nóżki ma i nie kaleka to sobie poradzi'. Niektóre zwłaszcza matki uważają swe dziecko za ideał a inne dzieci to ciągle to jej biedne dziecko krzywdzi. Dzieci to widzą i brutalnie tę 'litość' wykorzystują. Tym sposobem utwierdzają się tylko w egoizmie. I tym sposobem dzieci się pobijają i szybko pogodzą a rodzice mogą mieć do siebie długo pretensje. Trzeba więc wychowywać nie tylko dzieci by kiedyś nie 'były naszymi okrutnymi sędziami' lecz by nas szanowały ale niestety trzeba wychowywać i rodziców. Alek pobił się ze swym dobrym kolegą i pobił też jakąś koleżankę. Nauczony, że ma sam łagodzić konflikty nie mówi w domu nic. Na wywiadówce nagle dwie mamy mówią, że Alek pobił ich dzieci. To nie jest najlepsza forma załatwiania spraw między rodzicami. Przyjąłem to z najwyższym spokojem. Powiedziałem, że po powrocie do domu rozeznam sprawę. Okazało się, że sprawa jest prozaiczna. Dziewczynka została kopnięta pod ławką i pociągnięta za włosy za dokuczanie i przezywanie a z kolegą po prostu wszedł w jakiś konflikt a jak zwykle wina jest pośrodku. Aby dzieci przyjęły naukę szybko powiedziałem Alkowi, że niech mi uderzy dziewczynę jeszcze raz to pożałuje. Ma szanować dziewczyny. A pokrzywdzoną dziewczynkę przeprosi, poprosi by mu nie dokuczała i obieca, że już jej nie skrzywdzi. Co do kolegi to pójdzie razem z kolegą i pogodzi się z nim przy mamusi kolegi, która tak nagle zaatakowała mnie na wywiadówce. Monika będzie asystować gdyby któremuś przyszło do głowy udawać niewiniątko i ofiarę losu i będzie w razie czego korygować ich zeznania. Widziałem jak Alek chodzi po domu i

strasznie to przeżywa. W końcu pod wieczór przyszedł do mnie i prosi żebym go raczej zbił ale on nie pójdzie. „O co to to nie. Pójdiesz i na całe życie sobie to zapamiętasz. Nim wejdiesz z kimś w konflikt to sobie to przypomnisz i będziesz rozważny”. Następnego dnia zapomnieli sobie a ja jechałem w teren więc Alkowi tylko przedłużył się czas przeżywania i przemyślenia sprawy bo powiedziałem, że choćby nie wiem co kombinował to i tak pójdzie. Poszli na trzeci dzień. Pogodzili się. Mama kolegi strzeliła im kazanko. Gdy skończyła synek powiedział ile czasu mówiła. Jeśli wychowanie dzieci wymknie się spod kontroli, a niestety wymyka głównie z winy rodziców, to nieprzyjemny będzie obraz przyszłego społeczeństwa i naszej starości – jeśli w ogóle da się starym ludziom żyć. Już widać jak się wypełniają słowa Pana Jezusa 'wasze dzieci będą waszymi sędziami'. Sami sobie na to pracujemy. Bez kija i marchewki się nie obejdzie. Moje dzieci są upominane często. Ja długo upominam. Nie pomaga to jest kazanko. Nie pomaga to się krzyczy. Nie pomaga to do komórki [garderoba]. Nie pomaga to dostają w skórę. Nauka nie idzie w las. Wydaje nam się, że mądrzeją i stają się coraz bardziej odpowiedzialne i coraz bardziej wrażliwe na innych ludzi. Czują naszą miłość. Często się przytulają. Wszczepić dziecku wrażliwość na innych, miłość, współczucie i dyscyplinę to zadanie dla nas rodziców. Nie jest łatwo wychować dobrego człowieka. Trzeba się napracować by utemperować trudny charakter dziecka i osiągnąć cel wychowawczy. Prace przy domu zakończyliśmy pod koniec 2000 roku tuż przed moimi objawieniami. Dużo jest już zrobione i można w takich warunkach już spokojnie mieszkać długie lata. Do tej pory nie licząc materiałów które były przed budową całość kosztów które są udokumentowane i nieudokumentowane zamknęła się w 70 tys zł łącznie ze skromnym umeblowaniem. Gdy ostatnio to powiedziałem koledze z Krakowa stwierdził, że on w tych pieniądzach to ma dopiero piwnicę. Myśmy budowali dom własnymi rękami sposobem gospodarczym. Więc ten nasz duży wkład i opieranie się na tanich materiałach zrobiły swoje. Około trzech lat to tylko była praca na budowie w każdej wolnej chwili. W sumie to trwało osiem lat. Jeszcze mam w planie kiedyś wymienić eternitowy dach, zagospodarować poddasze i w piwnicy zrobić skromny pokój z kominkiem oraz zrobić jakiś większy remont i wymienić stare meble gdy dzieciaki podrosną. Być może konieczne będzie wcześniej wymienić samochód. Jeśli życie będzie normalnie wyglądać i będą finanse to pewnie to zrealizujemy. Na razie sytuacja nie jest na rynku pracy optymistyczna. Jeśli nie będzie środków to będziemy mieszkać tak jak mieszkamy. Nas cieszy i wystarcza nam to co mamy. Ciepło naszego domu i uczucia dobra i miłości są ważniejsze niż luksusy, których ani Irena ani ja nie pragniemy. Dobrze wiemy, że najważniejsza jest miłość. Gdy było nam ciężko i czasami Irena była na mnie zła mówiłem Jej; 'maleńka tylko się przytul, a wszystko będzie dobrze'. Nie było nas na początku stać na większe wyjazdy. Jeździliśmy tylko w maju do Łomnicy do „Marianum” domu Ojców Redemptorystów gdzie spotykaliśmy się z Ojcem Mirkiem Chmielewskim i ze znajomymi z 'górkami' z czasów studenckich. Pojawiały się dzieci. Póki były małe nie dało się z nimi nigdzie daleko chodzić. Gdy podrosły już można było robić wycieczki na Halę Łabowską. Z nauczycielami z Ciężkowic imprezowało się na studniówkach i na ogniskach. Był wyjazd do Pragi i w czeskie góry stołowe oraz do Zakopanego. Dopiero w 2001 roku wybraliśmy się całą rodziną na dłuższy wyjazd do Bardejowskich Kupeli. Byliśmy i w ubiegłym roku bo i nam i dzieciakom bardzo ta miejscowość przypadła do gustu, a zwłaszcza basen z wodą geotermalną i możliwość potańczenia na imprezach. Staramy się wyjeżdżać w grupie bo można się pobawić i pośpiewać przy akompaniamencie gitar. Nasze pokolenie ma w genach śpiew. Więc przy okazji wspólnych spotkań bardzo często śpiewa się oraz tańczy lekko zakrapiając to alkoholem w zależności od potrzeb danej osoby.

8. Okres przygotowania do misji, poznanie Boga i siebie.

Wysłannik nieba jest przygotowywany do swego zadania przez całe swe życie. Każde życiowe doświadczenie ostatecznie go kształtuje i nakreśla sposób działania gdy nadchodzi moment wypełnienia misji. Istotny jest też charakter, który się ma przy urodzeniu i który ulega podszlifowaniu w czasie życia. Byłem na początku bardzo

pokoju nastawiony i garnałem się do ludzi z otwartym sercem ale Bóg zdecydował, że wielu ma mi być przeciwnikami i że mają mnie na wiele sposobów doświadczyć. Pojawił się gniew. Głupota, pycha, wywyższanie się nad innych, próba dominacji i panowania nad innymi strasznie mnie denerwowały. Potrafiłem zdecydowanie sprzeciwić się ludziom o takich charakterach. Staralem się panować nad tym by nikogo nie uderzyć w gniewie. Dopiero ćwiczenie sztuk walki pozwoliło mi nad gniewem zapanować. Teraz sprzeciwiam się zdecydowanie jeśli trzeba lecz gniewu już nie ma. Jeśli miałem jeszcze jakiś gniew to wypalał się on mocno w ostatnim okresie. Bardzo dużo nauczyło mnie doświadczenie z lata 2000 roku z Francji gdzie Okuyama brutalnie mnie potraktował kilka razy tak, że omal nie posikałem się albo nie zemdlałem z bólu i później trzy miesiące nie mogłem niczego ścisnąć w dłoni. To było temperowanie ego. A jeszcze więcej nauczyły mnie cierpienia mistyczne, cielesne i psychiczne – głównie z 2002 roku. Ćwiczenie karate i ju-jutsu zwłaszcza Hakko-ryu było związane z dużą dyscypliną brutalnego treningu w pierwszym przypadku i dużym bólem fizycznym ze względu na dźwignie w drugim przypadku.

Uczyłem się od życia wiele bo mam dar obserwacji i analizy życia. Obserwuję i analizuję w miarę bezstronnie przyjmując wszystkie możliwe warianty. To pozwala mi z wyrozumiałością ogarnąć całość, a jednocześnie nie utajniać żadnych zagrożeń. Bezpośredniość pozwala mi skomentować każde zdarzenie bez głaskania otoczenia. Jednocześnie nauczyłem się, że sam mam słabości i sam popełniam błędy więc nie tępię ludzi tylko jak lustro ukazuję im błędy i staram się na ile to w mej mocy pomóc im. Widząc jak ludzie robią z siebie nawzajem przestępców nigdy tego nie robię. Omawiam sytuację ale nawet ostro reagując nie osądzam. Ci, którzy byli blisko mnie czasami to zauważali i korzystali z moich rad. Jeśli ktoś wiedział wszystko nie dało się mu radzić. Niestety dziś wszystko wiedzących jest większość. Ciężkie doświadczenia w pracy w dużej mierze przetrwałem dzięki swemu charakterowi i dyscyplinie wyniesionej ze sztuk walki. Obowiązkowość mniej mi w tym pomogła. A duża wrażliwość na świat i ludzi nie była zbyt dobrym czynnikiem do przetrwania gdy zewsząd sączył się jad, oskarżenia, straszenie i budził wśród ludzi lęk, który mobilizował wielu do walki aby tylko samemu przetrwać. Duża wrażliwość bowiem w takich warunkach przeradza się w duży ból. To mnie jednak wiele nauczyło. I za przykładem mojego tatusia ustępowałem by ktoś nie był pokrzywdzony. Nim ustąpiłem wcześniej zgodnie ze swym charakterem mówiłem prawdę w oczy. Taki sposób działania przysparza przeciwników bo ludzie nie chcą by im mówić brutalną prawdę lecz wolą słyszeć pochwały i pochlebstwa. Wiele ciężkich oskarżeń musiałem przyjąć na siebie. A ukazując swój charakter i to, że chodzę swoimi drogami nie wdając się w układy sprawiło, że wielu odsunęło się ode mnie abym nie wprowadził dysharmonii w układy, które sobie zbudowali. Takie odrzucenie i odizolowanie było kolejnym ciężkim doświadczeniem. Od dziecka byłem zakochany w Jezusie i zdecydowanie walczyłem w obronie każdej wiary ukazując tym którzy atakują, że to ich niewiara sprawia, że szukają ofiar i dlatego tak łatwo przychodzi im oskarżać innych. Gdy więc zdruzgotany wieloma doświadczeniami i śmiercią Tatusia i brata Zenka zacząłem zwracać się z wielką tęsknotą ku Bogu Jezus sam poprowadził moje poszukiwania. Modliłem się zawsze za zmarłych, a po śmierci moich ukochanych modliłem się tak gorliwie jak dawno się nie modliłem. Wtedy przyszło ukojenie i pragnienie by poznać Boga. Ojciec Święty głosił już od lat, że Bóg Jest Miłością. To najbardziej do mnie przemawiało. Zacząłem więc szukać w Ewangelii – głównie Janowej wyjaśnienia tego i wyjaśnienia co znaczy JESTEM dlaczego Jezus mówi 'jeśli nie uwierzycie, że JA JESTEM w grzechach swoich pomrzecie'. W człowieczeństwo Jezusa wierzyłem lecz pragnąłem poznać na czym polega Jego Boskość. W dzieciństwie pragnąłem być dokładnie taki jak Jezus i Święci. W 1997 roku to pragnienie odżyło z ogromną siłą. Studiowałem Apokalipsę i zastanawiało mnie kim są Ci zbawieni, których 'nie dotyczy już śmierć druga'. Bardzo mnie to interesowało bo od dziecka wierzyłem w reinkarnację i inkarnację bo wiedziałem, że nie jestem tu po raz pierwszy i że po coś tu jestem. Teraz szukałem. Czułem się jakby to zostało dla mnie napisane. I nagle Pan Witek, z którym często rozmawiałem na duchowe i na fantastyczne tematy mówi, że ma dla mnie trzy książeczki. Przynosi w końcu książeczki o inkarnacji awatara pełni Satya Sai Baby. Gdy zacząłem czytać Jego słowa i przestałem wykrzyknąłem 'mój dobry Boże

nareszcie'. Miałem pewność, że oto coś dzieje się wielkiego. Wchłonałem wszystko jednym tchem. Wiele jednak miałem pytań. Obowiązki zawodowe przerywały moje rozważania lecz wciąż gnany potrzebą serca wracałem do tematu. Praca, zaangażowanie się dodatkowo w ubezpieczenia, remont i praca przy wymianie szyb w domu i przy robieniu elewacji ciągle zabierały mi dużo czasu lecz moje przywiązanie do spraw tego świata i gonitwy za dobrami wypalało się. Pragnąłem tylko poznać Boga. Każdy kto to przeszedł dobrze wie jak gorące i nieopanowane jest to pragnienie. Jednocześnie patrząc na otaczający świat i mając za sobą bagaż ciężkich doświadczeń rozumiałem, że żyjemy w czasie wypełniania się apokalipsy i te niesamowicie obrazowo opisane zdarzenia w rzeczywistości wypełniają się dość prozaicznie. Pragnąłem i szukałem wyjaśnień, a moje cierpienie wewnętrzne wzrastało. Prace przy domu zakończyliśmy dokładnie pod koniec listopada 2000 roku. Zostało mi trochę tynku akrylowego więc postanowiłem położyć go na ścianach zejścia do piwnicy i w korytarzyku w piwnicy. Wcześniej zrobiłem porządki wkoło domu. Skończyłem pracę i miałem szczerą chęć odpocząć i pooglądać telewizję co rzadko mi było dane robić. Roboty zawodowej było jakoś niewiele i czułem się podładowany również seksualnie. Tu pragnąłem Boga, a tu pragnąłem seksu. I około 10 wieczorem gdy się zdenerwowałem na Irenę świat zniknął i znalazłem się nagle w otchłani nieskończonej nienawiści z poczuciem osobowej obecności Jezusa. Umarłbym z przerażenia gdybym nie wezwał Jezusa na pomoc. Wezwałem. Znow znalazłem się w swoim łóżku. Byłem tak zdruzgotany, że zastanawiałem się ileż grzechów musiałem popełnić, że Bóg odbył nade mną sąd i jak mam z tym żyć. Rano obudziłem się z determinacją aby dostać się do nieba. Siadłem w fotelu i jak dziecko nieustępliwie jak największy grzesznik prosiłem ,wyrwałś mnie z piekła mój Jezu to teraz zabierz mnie do nieba'. Nie ustępowałem lecz prosiłem. Święty Franciszek dobrze wie jak gorąca była to prośba bo On tak umiał prosić i to On mnie natchnął. I nagle świat zniknął i stałem się czystą miłością zanurzoną w bezmiarze (pełni) miłości. Wszystko to było we mnie i zaczynałem się napełniać tą pełnią. I umierałem w ekstazie o jakiej nikomu nawet nie przyjdzie do głowy marzyć. Umierałem i byłem o krok od śmierci w ekstazie. Może nawet zniknąłbym cały w MIŁOŚCI. Siłą myśli, ostatkiem sił, wykrzyknąłem 'dość już Boże bo umrę z miłości !'. Znow byłem w fotelu niepojęcie szczęśliwy. Poznałem ! Jestem Miłością ! Bóg Jest Miłością ! Wiem co znaczy Jestem ! Mój Boże wszyscy są święci, wszyscy i wszystko ! Jesteś wszędzie ! Nieskończony ! Myślałem, że z radości wyskoczę z siebie. I nagle uświadomiłem sobie, że to ja jestem świadkiem Boga i jeśli zacznę głosić co wiem, a na pewno zacznę to mi nie uwierzą i zaczną mnie prześladować jak Jezusa. Od razu przed oczami stanął mi obraz świadków apokalipsy. Tak czułem wcześniej, że jestem świadkiem apokalipsy. Aż ciarki mnie przeszły. I zatęskniłem by rozpląnąć się w Bogu. Chodziłem znow smutny, zdruzgotany i pragnący. Co ja zrobiłem ! Dlaczego nie umarłem ! Potrzebuję się oczyścić i umrzeć w Bogu. W wigilię całe życie opowiedziałem Irenie, pobiegłem do spowiedzi. Zacząłem świadczyć, że prawdziwym wcielonym Bogiem jest Sathya Sai Baba jakiś hindus, o którym Irena wiedziała, że czytuję od dawna Jego pisma co uważała tylko za chwilowe zainteresowanie. I zaczęła się wojna domowa. 'Wcielonym Bogiem jest tylko Jezus !'. Nie prawda 'każdy jest lecz nie każdy o tym wie !'. Tu wojna. Tu tęsknota za Bogiem, która spowodowała nawet to, że zaniedbałem powinności małżeńskiej i nie kochałem się z Ireną z miesiąc. To wszystko spowodowało, że przechodziliśmy przez morze cierpień. Podpięliśmy się do internetu. Irena zaczęła ściągać dużo złych rzeczy na temat Sai Baby a ja ściągałem Jego nauki i chłonałem wszystko z rozkoszą jako bogaty pokarm dla duszy. Porównywałem z Pismem Świętym i wszystko było jasne. Byłem w stanie zachwyty zadawałem pytania lecz odpowiedzi przychodziły w większej ilości niż pytałem tak, że nie dawałem rady tego uporządkować. Robił mi się mętlik. Zacząłem ściągać i teksty w języku angielskim. Po ich przestudiowaniu i zachwyceniu się nimi zacząłem je tłumaczyć. Ta praca pochłoneła mi bardzo wiele dni. Pracowałem i nad tłumaczeniami i zawodowo. Modliłem się żarliwie i zacząłem medytować przypominając sobie wskazówki mistrza Kaisena i ściągając w tym temacie liczne materiały. Pragnienie, modlitwa i medytacja sprawiały, że przeżywałem szereg mistycznych stanów. Między innymi raz zamieniłem się w słońce – ogień – czystą energię, która nie spala. Pragnąłem powrotu do Boga ale z drugiej strony jakieś dziwne poczucie obowiązku i misji trzymało mnie w tym świecie. To wszystko na tle ciągłych

wymówek i wręcz awantur żony zmartwionej, że zostanę potępiony za to co głoszę. Tak walczyła, że w końcu zacząłem przeglądać co w internecie piszą niepozytywnego o Sathya Sai Babie. Było tego wiele. To mnie zdenerwowało. Boga nie znają i innym zaprzeczają. Zacząłem z tym walczyć i tak moja misja zaczęła się sama wypełniać, a ja nawet tego nie zauważyłem.

9. Dotychczasowy przebieg Misji.

Walczyłem o świętość i boskość, a oskarżenia się sypały już nie tylko w domu ale z całego internetu. Określenia jak zwodziciel, szatan, diabeł, antychryst, anioł z czarnymi skrzydłami, fałszywy prorok, pyszny, egoistyczny, pycha pych, „niech zgadnę skąd wiesz, że Bóg i ty jesteście Miłością. Od diabła !” i tym podobne zarzuty względem mnie były na porządku dziennym. A moje miłosierdzie i współczucie przekraczało mój gniew. Bo jak dawniej prorocy rzucali gromami i sprowadzali ogień z nieba tak mnie przepęniało miłosierdzie – wszak sam Jezus ustami swych współczesnych proroków (głównie Świętej Marii Faustyny Kowalskiej) ogłosił, że jest to czas miłosierdzia dla Ziemi. I tak jest. Chociaż sam po sobie czuję, że mimo, iż od dziecka myślę nieziemskimi kategoriami tylko kategoriami nieba i niejako nowej ziemi w tym wszystkim mając współczucie, miłosierdzie i miłość na czele to wciąż czuję, że burze i pioruny jakie powodowali dawni prorocy są wciąż możliwe. Czuję to w sobie i im dalej posuwa się nękanie i uciskanie ludzi prawem podporządkowanym tylko służbie pieniądzu a nie służbie człowiekowi to to we mnie narasta. Burzyłem już w przeszłości systemy ucisku i wprowadzałem ideę Jedyne Boga w miejsce lepionych złotych cielców i glinianych bożków i teraz podobnie nie pozwolę by ucisk i gnębienie narastało a człowiek zapomniał, że ma się stać Jedyń Boga nad świętymi. Należę do istot niebiańskich - burzycieli nieludzkich systemów. A dziś w okresie walki światłości i ciemności o człowieka przed przemianą kwantową na Ziemi tym bardziej swe zadanie muszę podjąć. Bóg tak wszystko poprowadzi, że życie samo mnie do tego natchnie. Już ogromne cierpienia ostatniego okresu zmieniły moje patrzeć na grzeczne podporządkowywanie się dla świętego spokoju lub ze względu na lęk ludzi. Dlatego podejmę to zmaganie i będę się zmagać z uciskiem praw i nieustannie świadczył o istocie Boga i człowieka i rychłym końcu czasów. Dla wielu stanę się jak zwierciadło w którym będą się mogli przejrzeć. Do tej pory dużo już świadczyłem; rozdawałem i rozsyłałem materiały. Świadczyłem bo poznałem Boga i siebie. **JESTEM MIŁOŚCIĄ. Każdy Jest. JESTEŚMY MIŁOŚCIĄ.** Jest tylko jedność w Miłości, w Bogu – w Duchu Świętym. Walka o wiarę swoją i innych oraz tłumaczenie bezsensowności ataków na innych trwała i trwa do dziś. Poza studiowaniem nauk duchowych i tą walką nie badałem sprawy. Jedynie prosiłem o badanie Ojców Redemptorystów. Pracy zawodowej było coraz mniej więc wyrabiałem czasowo. Odczuwałem ogromne współczucie dla świata. Zacząłem rozdawać materiały i chciałem się zaangażować w działalność charytatywną. Szybko zorientowałem się, że trudno będzie ludzi zmobilizować. Postanowiłem więc pomagać po swojemu. Większość pieniędzy przeznaczałem na pomoc potrzebującym. Aż rodzina się ze mną kłóciła, że nie myślę o rodzinie. Od razu też stwierdziłem, że pracując zawodowo, studiując sprawy duchowe, korespondując i mając obowiązek zajęcia się rodziną i tak brakuje mi czasu na wszystko. Coś mi mówiło żeby założyć stronę internetową ale myślałem, że to dużo kosztuje więc wolałem pieniądze przeznaczać dla potrzebujących. Jedynie czasami wykupywałem abonament godzin w internecie i działałem poprzez internet. Wiedziałem, że świadczyć o Bogu i swym objawieniu. Nawet mi nie przyszło przez myśl jaką istotą jestem i dlaczego to ja zostałem do tego wybrany. Aż 10 listopada 2001 roku jadąc na trening usłyszałem głos z serca „Zastanów się kim jesteś i kim byłeś ? Zastanów się dlaczego urodziłeś się gdzie się urodziłeś i dlaczego żyjesz gdzie żyjesz ? Zastanów się dlaczego to właśnie ty ?”. Głos się powtarzał. Pytałem. „Czego chcesz ode mnie jeszcze Jezu ?”. I gdy rano w niedzielę 11.11.2001 roku obudziłem się wiedziałem. Po prostu wiedziałem. Jestem inkarnacją ducha bożego archanioła Michała. To był dla mnie szok. Wiedziałem i nie mogłem tego wymazać z pamięci. To tak jakbym sobie przypominał. „Tak ! A więc kim byłem w poprzednich wcieleniach ? Jestem świadkiem Boga i prorokiem końca czasu więc

musiałem być prorokiem i wcześniej, ale którym?”. Szybko przyszło. Byłeś Mojżeszem a wcześniej Henohem. To była świadomość. Powrót pamięci. Wiem to na 100 %. Gdy zaczynał buntować się rozsądek i lęk się wkładał, że nie będzie lekko jeśli tak jest to jednak świadomość i serce mnie uspokajały. I po prostu wiedziałem. Zawsze napływ świadomości następował najsilniej w listopadzie i grudniu. Grudzień od 8 do świąt zawsze był najintensywniejszy. Zacząłem to i inne sprawy intensywnie rozgłaszać. Konrad zaczął mi przygotowywać stronę internetową, która jeszcze nie skończona a ciągle była uzupełniana. Zacząłem badać prorocтва i objawienia a nawet to co mówią jasnowidzowie. Potwierdzenie licznych spraw, które napływały do mnie znajdowałem w przeciągu kilku dni lub tygodni. Wszystko umieszczałem na stronie. Zacząłem żmudną robotę spamowania. Wyszukiwania adresów i podawania strony z informacją o nadchodzącym końcu czasów. Znowu sypnęła się korespondencja z bardzo różnymi osobami. Pojawili się ludzie zajmujący się sprawami astralu, dawnymi kulturami i walczący ateści [w zasadzie walczący ateista Michał]. Nie nadażalem z pisaniem listów. Irena już przeboleła nasze wojny i założyła, że nie zostałem wciągnięty w żadną sektę bo z nikim się nie spotykam więc muszę być chory psychicznie. Radziła się psychiatry i psychologa. Siłą wysłała mnie do Pani psychiatry. Tu oczywiście opowiedziałem trochę o życiu i stanach mistycznych. Nawiązałem do objawień. Potwierdziłem, że w domu były przypadki schizofreni ale bardzo gwałtownej. Potwierdziłem, że jestem świadkiem Boga i prorokiem końca czasów. Nie mówiłem o swym niebieskim pochodzeniu. Pani słuchała zniecierpliwiona bo już miała gotową diagnozę – po co więc słuchać wariata, przecież oni są sprytni i przebiegli. Oczywiście stwierdziła, że muszę się leczyć. Odmówiłem. Irenie powiedziała, że albo szpital albo leczenie w domu. I Irenka zaczęła mi dolewać rispoleptu do pokarmów. Czułem i zauważałem, że dodaje. Ale nie czując działania stwierdziłem, że Bóg mnie wybrał więc i nie pozwoli zrobić krzywdy. Mówię jej, że mi daje leki a ta ze spokojną miną [tak jak bardzo dobrze potrafi], że schizofrenicy zawsze uważają, że ktoś im coś dolewa. Machnąłem ręką bo jeść musiałem i nie przejmowałem się tym. Z pracą było kiepsko więc za namową Ireny jeździłem do Krakowa na kurs z Sapardu. Kurs interesujący ale gdy zobaczyłem jak nieludzkie procedury wprowadzili i jak bezsensownie krótkie terminy to widziałem, że nie będzie łatwo bo jeśli ktoś będzie chciał dotrzymać terminu to po prostu będzie musiał dawać łapówki by urzędy szybciej rozpatrywały sprawę. A stawka jest duża. Nie załatwisz wymaganych papierów na czas albo któregoś ci braknie to dostaniesz tak króciutki termin, że normalną drogą skichasz się a sprawy w terminie nie załatwisz. Nie załatwisz nie dostaniesz pieniędzy. I jeśli się zapożyczyłeś zostaniesz na lodzie. Jeszcze jest ewentualność, że pracownicy agencji nie będą przestrzegać do końca procedur by ci pomóc. Lecz to już będzie grubymi nićmi szyte. To mi się nie podobało. I przez pryzmat tych nieludzkich procedur zacząłem widzieć wejście do Unii co mnie nie napawało optymizmem. Teraz widzę, że i tak w takim duchu reorganizuje się inne nasze przepisy. Nie napawa mnie to optymizmem. Trochę pracowałem zawodowo i korespondowałem. Czułem się coraz gorzej. Na początku myślałem, że to jest jakieś osłabienie wiosenne. Gdy zdawałem egzamin z Sapardu byłem w tak kiepskiej kondycji, że nie wiem jak udało mi się zdać. Pilnowali bardzo, a wiele pytań niby było prostych a miałem problem by objąć całość chociaż nie powiem uczyłem się trochę. Czułem się fatalnie fizycznie, psychicznie i miałem wrażenie, że tracę pamięć. Niedługo później rozleciałem się kompletnie. Cały się trząsałem. Traciłem pamięć. Bałem się wszystkiego. Gorączka straszliwa. Zimny – śmiertelny pot mnie zalewał. Nie miałem kompletnie sił. Światło mnie zabijało [do tego stopnia, że nawet w lecie wychodząc na słońce miałem wrażenie, że mnie słońce spali]. Wiłem się jak ranne zwierzę całymi godzinami z tak rozdzierającym bólem świadomości, duszy i psychiki, że nawet moje wcześniejsze niemoce były przy tym niczym. Rozumiałem każdego chorego torturowanego lekami w szpitalu, każdego narkomana i każdego pijaka. Rozumiałem dno ich rozpaczki którego sam sięgnąłem. Umierałem i nawet nie miałem siły prosić Boga o ratunek. Irena widziała, że umieram. Przestała dawać lek. Jeszcze to, że przez rok nie jadłem mięsa [tylko ryby] i ze względu na opór rodziny w sumie byłem nie przejeżdżony spotęgowały potworny ból i umieranie. Zacząłem jeść mięso może się uratuję. Ale to niewiele dawało. Umierałem. Depresja potworna mnie zabijała. Jakaś siła zaczęła mnie zmuszać bym sobie odebrał życie. Udowadniała mi, że do niczego się nie nadaje, że sobie nie poradzę, że porwałem

się na zadanie, którego nie wykonam, że byłem chory wiele wcieleń i będę chory już zawsze, że nie warto żyć bo i tak inni mnie odrzucają, nie rozumieją i zabijają jak Jezusa. Po co więc walczyć lepiej skończyć z sobą już. Nie znajdowałem w sobie siły ducha by błagać Boga o ratunek. „Widzisz taki jesteś słabutki i taki już zostaniesz. Po co cierpieć. Skończ ze sobą a wreszcie otuli cię spokój”. To nie miało końca. Nie spałem wcale i to mnie dodatkowo wykańczało. Sam pobiegłem do lekarki. Zacząłem brać leki na depresję. Nie pomagało nic. Jedynie zaczęła mi się zwężać perspektywa i cały czas miałem wrażenie, że na coś wchodzę lub wjeżdżam. Usiłowałem pracować. I pracowałem. Nawet nie wiem jak pracowałem bo zupełnie nie byłem w stanie się kontrolować. Nie spałem już długi czas. Zaczęliśmy rąbać z teściem drzewo. Cały czas patrzyłem tylko kiedy poobcinam sobie palce lub odetnę rękę. Nie czułem przestrzeni i dystansu. Zacząłem widzieć jak obrazy świata pulsują, pojawiły się jakieś świetlne zniekształcenia. A tu wciąż ta sama siła, która mnie męczy. Leki powodowały że miałem wrażenie, iż zaraz wypadną mi zęby. Jakiś potwornie przykry chemiczny smak. Bóle bez końca. Siła, która chce mnie pokonać i brak snu. To mnie wykańczało. Jednak pracowałem. Słońce mnie zabijało swymi promieniami lecz wychodziłem na nie by nabrać życia. Nawet wieczorami chodziłem jeszcze z raz w tygodniu ćwiczyć chłopaków ju-jutsu w klubie w Kielanowicach. Zmieniłem leki. Uśmierzały depresję chociaż na moment. Ale gdy lek przestawał działać znów umieranie i walka ze złą siłą zaczynała się na nowo. Całkiem opadłem z sił a kłopoty z pamięcią i brak właściwego poczucia dystansu i przestrzeni trwały. Poszedłem na zwolnienie. Jednak nic nie pomagało. Ani leki, ani praca w polu, ani jakiegokolwiek próby samosugestii. Umierałem dalej chociaż w nocy po zażyciu leków mogłem chwilkę pospać. Tylko lek uśmierzał depresję. Czułem, że leki niszczą organy wewnętrzne. Żołądek i organy wewnętrzne bolały. Jadłem, jadłem i zaczynałem tyć. Zero chęci do jakiegokolwiek życia. W końcu postanowiłem walczyć. Odstawiłem leki. Potworna depresja wróciła z większą siłą. Nie spałem całymi nocami przeżywając w nocy i w dzień potworne męki. Nawet próba pracy nie dawała mi uśmierzenia bólu. Stałem się sztywny. Znajomi nawet nie zauważali tych moich walk i mąk. Powoli czułem, że chemia opuszcza moje ciało i zaczynam być w coraz lepszej formie. Po dwu miesiącach czułem się już dość dobrze ale byłem potwornie słaby. Do dziś jestem bardzo osłabiony. I często po prostu nie mam siły wstać. Śpię ale czasami lepiej by było bym nie spał bo w ciągu dnia muszę dochodzić do siebie. Tak jakbym budził się po jakimś koszmarnym śnie. W tym okresie ciężkich zmaganiń niewiele korespondowałem. Czasami tylko wydrukowałem i komuś dałem jakiś materiał. Rozdałem też część dawnych krążków. Gdy tak walczyłem z depresją - sam z sobą - pod koniec sierpnia zaczęła napływać przez czubek głowy energia. Intensywnie i coraz intensywniej. Mogłem już w miarę dobrze funkcjonować. Szukałem pracy bo w czasie wakacji miałem 4 miesiące bez pracy i dokładałem do swej działalności z oszczędności. Nowe urzędy weszły i zaczęły gnębić i każdą bzdurę. To dodatkowo mnie dołowało. Na całym rynku pracy w naszej branży był to ciężki okres. I trudno powiedzieć czy to nie jest symptom naprawdę trwałego kryzysu. Nie mam układow poza tym, że kilka życzliwych osób z terenu zawsze umożliwiało mi zrobienie jakiegoś tematu nic nie oczekując w zamian. Jeśli będzie źle mogą wypaść z rynku bo nie przebiję się ze swą stanowczą postawą przez rynek, na którym obowiązują inne zasady niż ja wyznaję. I tak usiłując coś robić cały czas czułem napływ energii. Coraz silnie i silniej. Miałem okres, że było więcej pracy więc pracowałem wytrwale. Energia napływała intensywnie. W końcu zaczęła napływać świadomość. Zdziwiająca. Pisałem dużo, bardzo dużo. I zacząłem sięgać do dzieł ezoteryków. Zauważyłem, że zgromadzili bogatą wiedzę więc konfrontowałem to z moją świadomością. Wiele rzeczy było spójnych. Wiele się nauczyłem studiując ich myśli, dzieła i przekazy napływające innymi drogami niż do mnie. Badałem dalej sprawę awatarów. I w końcu świadomość napłynęła, że w domu mam dwu awatarów. Matki awatarów to też awatarzy [tak to wiem jak kiedyś bronilem boskości Maryi i Świętych] są zazwyczaj mało świadome, że są awatarem i że mają syna awatara. Byłem zdziwiony i nie ogłaszałem tego bo ciężko było mi samemu w to uwierzyć. Gdy jednak 8 grudnia przyszło wewnętrzne utwierdzenie i świadomość w pełni się utrwaliła w końcu 25 grudnia to wypowiedziałem. A więc miałem po drodze jeszcze inkarnację jako Józef opiekun Świętej Rodziny. Jak opisywałem Lucjan cały czas ogromną miłością towarzyszył mi przez cały trudny okres i przez okres napływu

świadomości, pisania i prorokowania. Zgodziłem się zstąpić drugi raz do piekieł gdy głos z serca zapytał mnie czy to uczynię. Zstąpienie nastąpiło 11.11.2002 roku. Było odmienne od poprzedniego. Świat zniknął i znalazłem się w nieskończonej ciemności ale już dostrzegałem przebliski światła. Teraz to nie była nieskończona nienawiść tylko nieskończona pogarda i szyderstwo. Wiedziałem z serca, że mam walczyć miłością. Gdy czułem, że moja świadomość i moja istota zostanie całkowicie wchłonięta przez ciemność wygenerowałem miłosierdzie dla ciemności i siebie i ciemność znikła. Pojawił się cudowny zapach kwiatów. Byłem bardzo osłabiony, a to mnie dodatkowo wykończyło. W prorokowaniu doszedłem do momentu gdy świadomość i serce utwierdziły się w potrzebie jednoczenia synów światłości bo czuję, że ciemność też się jednoczy. W związku z tym wykonałem potężną pracę informowania licznych instytucji i głoszenia potrzeby jedności. Wysłałem pocztą bardzo wiele listów i krążków. Drogą mailową też działałem. Stworzyłem dwie kolejne strony i uzupełniłem pierwszą. Zbadałem wiele spraw i rozeznałem się jakie jest podejście do kwestii jedności. No cóż nie najlepsze. Strach i lęk rodzą nieufność więc nie będzie łatwo. Wierzę, że Bóg sam poprowadzi. Poniosłem trochę kosztów i na razie przystopowało mnie. Urzędy gnębią nieludzko zbyt szybko wprowadzanymi i niestety uciskającymi przepisami a robota zawodowa też idzie tak ciężko, że jakoś trzeba będzie przetrzymać, a później się zobaczy. Miałem do omówienia kilka tematów. Trochę już poruszyłem i teraz piszę autobiografię zastanawiając się jak dalej pracować nad jednością. Czułem cały czas prowadzenie z nieba, a ciemność tak mnie mistycznie i zdrowotnie wymęczyła, że teraz po prostu potrzebuję odpoczynku. Nawet moja nieustanna obowiązkowość osłabła. Muszę więc zwolnić tempa i zadbać o zdrowie. W styczniu byłem 5 dni na seminarium ju-jutsu. A w lutym Irena zabrała nas na 3 dni do Szczawy. Napływ świadomości z Wyższej Jaźni według pewnej teorii gdyby był zbyt intensywny mógłby spowodować anihilację danej cywilizacji. Dlatego objawienie jest procesem postępującym wraz z jej rozwojem. Widząc ogromną ilość form i przekazów w naszym czasie najwyraźniej jesteśmy blisko wielkich wydarzeń - przejścia na wyższy poziom istnienia. Mobilizacja siły ciemności – co sam doświadczam – jest tak ogromna, że tak zapewne jest. Światłość też działa poprzez wielu dobrych ludzi, w tym wiele istot z nieba (ocenia się nawet na ponad 60 mln). Jednak nie jest to działanie zjednoczone co nie jest dobre, bo widzę to na razie nie jak zorganizowaną armię lecz jak pospolite ruszenie. Energia napływa wciąż i przez czubek głowy i przez kręgi na karku. Czasami ogień czuję w całym ciele, a zwłaszcza w dłoniach. Nie czuję obecnie potrzeby mówienia czegoś ważnego. Jedynie badam teraz sprawy i coś od czasu do czasu napiszę w formie komentarza. Ból jest. Czuję nie tylko swoje bóle (rozdarcia duszy, emocjonalne czy fizyczne) ale także jakby ból planety i ludzi. Ten ból czasami powala ale w zamian przychodzą stany zachwyty, energii i jakby odczucia każdą komórką ciała, sercem, dźwiękami jakiś nowych wyższych wibracji dobra i miłości. Może to już odczuwalne wibracje nowej ziemi? Muszę odzyskać siły bo w takim tempie wszystko się dzieje, że

kto wie co przyniesie jutro ?

10. Wypadki i działanie opatrności.

Gdyby nie opatrność Boża już wiele razy opuściłbym ten świat. W wieku około czterech lat byłem sam w domu. Był okres zniw. Chciałem odnaleźć rodziców i wybrałem się aby ich odszukać. Po drodze przysłała straszliwa burza z piorunami. Potężne krople deszczu omal nie wybijały otworów w delikatnej głowie a pioruny były tak gęsto, że aż się ziemia trzęsła. Szedłem wytrwale. Ludzie widząc dziecko idące przez burzę chcieli bym się schronił u nich ale odmówiłem i szedłem wytrwale dalej. Rodziców nie znalazłem i wróciłem do domu. Było to dla małego dziecka bardzo silne przeżycie jeśli do dziś pamiętam jakby to było wczoraj. Umiałem pływać pieskiem. Kiedyś tuż po powodzi poszedłem na nasze kąpielisko. Było dwu starszych kolegów. Zapytałem czy da się bezpiecznie kąpać. Oni stwierdzili, że tak. Gdy wszedłem do rzeki po chwili silny wir zaczął mnie wciągać pod wodę. Usiłowałem wypłynąć na powierzchnię ale nie dawałem rady. Walczyłem ostatkiem sił. Czułem, że wir nie dochodzi do dna tylko tłamsi mnie gdzieś pomiędzy powierzchnią i dnem nie pozwalając wypłynąć. Już myślałem, że umrę.

Nagle jakaś siła wypchnęła mnie z wiru. Któryś z kolegów podpłynął i pchnął mnie. To mnie uratowało. Ledwie miałem siły by wyjść na brzeg. Bawiliśmy się często na cegielni. Kiedyś stojąc w dolince w lesie rzucałem kamieniami w jakąś blachę. Nagle zobaczyłem lecącą cegłę dostałem lekko w głowę i z całej siły w klatkę piersiową. Zemdlałem. Gdy się ocknałem zobaczyłem kolegę Bogdana stojącego na skarpie. To on rzucił. Patrzył na mnie przerażony. Rzucił się do ucieczki, a ja wściekły za nim. Straszliwie uciekał. Udało się mu i nie dopadłem go. Później jak opowiadałem mu jak śmiesznie wyglądało gdy zwiewał śmialiśmy się razem. Kiedyś na cegielni chciałem wyjść z dachu na jakieś drzewo. Kolega Wiesiek był pierwszy i gdy zaczął się wspinać nagle sucha gałąź urwała się pod nim. Spadał w dół i brzuchem nadział się na sterzcący kołek. Brzuch był cały obdarty. A miałem wchodzić na drzewo ja. Kiedyś patrząc na strzechę starego domu z kolegą Mietkiem wpadliśmy na genialny pomysł, że możemy się wspiąć po strzesze na sam szczyt dachu. Nie mogłem dostać do belki żeby się podciągnąć. Mietek chwyciła belkę a ta się urwała i zardzewiały gwóźdź wbił się w jego głowę. Cały był zalany krwią. Skóra była mocno rozcięta, czaszka cała. Przez długie lata miał widoczny ślad. Kiedyś sam rzuciłem niechcący gwoździem i kolega Marek dostał w głowę. Też miał delikatny ślad na czole. Gdzieś w siódmej klasie poszliśmy na górę Św. Michała. Biegaliśmy i nagle gdy biegłem dróżką zawadziłem butem o kamień. Spadałem w kałużę. Starłem się zamortyzować upadek rękami tak żeby nie wpaść w kałużę. Niestety prawa ręka jakoś niefortunnie się przekręciła i wywichnęła się w przeciwną stronę niż się zgina. Zobaczyłem dziwnie zniekształconą rękę i sam szybko doprowadziłem ją do normalnego położenia. Wróciłem do domu. Rodzice na mnie nakrzyczeli a ja ledwie stałem. Pojechaliśmy do Pani która nastawia kości. Nastawiła mi. Ale po tym zabiegu do samochodu to już mnie doprowadzono na wpół przytomnego. O zatokach już wspominałem, że na stole operacyjnym znalazłem się w stanie nieustannych halucynacji z bólu i agonii a lekarz stwierdził, że stan jest tak poważny, że mogłem pożyć jeszcze najwyżej kilka miesięcy. Kiedyś kosiliśmy z tatusiem łąkę. On kierował ciągnikiem ja siedziałem na kosiarce. W pewnej chwili poczułem, że rosnę. Zleciałem z siedzenia i walnąłem głową w lampę ciągnika tłukąc ją. Upadłem na ziemię półprzytomny. Ocknałem się i widzę, że koło kosiarki i traktora zaraz się zejda razem a ja leżę w samym środku. Poczułem, że mam nogi na dyszlu. W ostatniej chwili tknięty wewnętrznym głosem odepchnąłem się mocno nogami. Gdy stawałem na nogi koła już się złączyły. Cudem nie zostałem zmiążdżony. Okazało się, że w ziemię był wbity żelazny pręt i to on spowodował cały wypadek. Kiedyś w czasie praktyki studenckiej na Dolnym Śląsku bodajże koło Ząbkowic Śląskich wchodziliśmy na wał obok torów. Nagle zobaczyłem w swych myślach jak spadam ze skarpy. Odwróciłem się żeby zeskoczyć ze skarpy i w tym momencie moja stopa została uwięziona w jakimś dołku. Zdażyłem odrzucić plecak i młotek, które trzymałem w rękach. Zamortyzowałem upadek rękami. Gdybym wcześniej tego nie ujrzał w myślach nie miałbym czasu by tak szybko zareagować. O tym, że kiedyś na kajakach omal nie utonąłem już wspominałem. Przed ślubem postanowiłem zarobić trochę pieniędzy. Eryk Wołowicz załatwił Józiovi Magdoniowi i mnie robotę w Bukownie na zakładzie elektrolizy cynku przy remoncie konstrukcji dachowej. Jak małpki bez zabezpieczeń biegaliśmy po konstrukcji nad kadziami z elektrolitem i katodami pod napięciem. Jeden nieopatrzny krok i można było wyładować na tym wszystkim kończąc swe życie. I tak trzy i pół tygodnia. Atmosfera hali przypominała mi jakąś piekielną scenerię. Bez maski człowiek by się udusił. Chociaż pracujące tam kobiety wchodziły bez masek. Były wszystkie siwiuteńkie i na pewno były młodsze niż wyglądały. Wszystko było pod napięciem. Potężne transformatory. Gdy szło się koło szyn prowadzących od transformatorów do katod to następowały niezbyt przyjemne wyładowania elektryczne pomiędzy udami i szyną. Nie można było odkręcić kurków z wodą bo straszliwie wszystko kopało. Kiedyś przechodząc koło rynny z płynącym elektrolitem dotknąłem jedną dłonią rynny a drugą metalowej rurki. Potężne uderzenie elektryczne przeszło przez serce. Myślałem przez moment, że serce przestanie bić. Najpierw czyściliśmy konstrukcję z siarczanów później się ją kilka razy malowało. Po jednym dniu ubranie i rękawice rozsypywało się w pył. Kiedyś kawałek siarczanu wpadł mi do rękawa. Czuję, że coś piecze. Gdy zdjąłem koszulę zobaczyłem krater głęboki na pół centymetra i żyłkę koło której się wpalił kawałek siarczanu. Ślad mam do dziś. Pojechaliśmy którejs zimy z

tatusiem do lasu aby ściąć parę drzew. Drzewa podciągało się traktorem za pomocą łańcuchów i drażków. W pewnej chwili słyszę jakby głos z serca 'ugnij nogi'. Zrobiłem to błyskawicznie i uchyliłem się. Zerwany drąg z łańcuchem przeleciał ze świstem nad moją głową. Wiedziałem, że to Opatrzność Boża mnie ocaliła. Gdy bliźniaki miały niewiele ponad miesiąc pracowałem w warsztacie robiąc sobie listewki. Był duży mróz a ja byłem wykończony nieprzespanymi nocami (dzieciaki dawały zdrowo w kość noc w noc). W pewnej chwili przy końcu roboty puściłem na heblarkę listewkę słojami w złą stronę. Silne uderzenie odlatującego urwanego kawałka listewki podbiło mój łokieć do góry. Dłoń poleciała w dół. Poczułem lekki ból. Gdy chciałem sięgnąć po kolejną listewkę zobaczyłem, że paliczek mojego prawego kciuka jest zmiażdżony. Wróciłem do domu. Wszyscy byli przerażeni widokiem tylko ja czułem się spokojny. Najdziwniejszy był mój wypadek samochodem. Była zima. Kupiłem zimowe opony tylko na przód. Jechałem z 50 km na godzinę. Droga lekko oblodzona i dosyć mocno sypie śnieg. Nagle na zakręcie w Zabłędzy widzę, że idzie jakaś kobieta nie poboczem tylko jezdnią. Staralem się ją ominąć. Ale gdy wracałem na swój pas zauważyłem, że tył samochodu mnie wyprzedza. Lekko przyhamowałem. Wyprostowało mnie ale teraz jak na łyżwach jechałem jakby w zwolnionym tempie prościutko na wysoką skarpę. Po wjechaniu na skarpę koziółkowałem dwa razy. Czułem jak mną szarpie. Huk pękających szyb i łamiącej się karoserii. Dostałem łamiącym się dachem w głowę. Rozparłem się jak w kajaku i przylgnąłem do kierownicy. Koziółkowałem dwa razy. W końcu postawiło mnie i zaczęło ściągać po łące w dół w kierunku następnej skarpy. Opony spadły z felg i tuż nad następną skarpą wbiły się w ziemię. Samochód się zatrzymał. Co dziwne kobieta zniknęła i nawet nie zainteresowała się co się ze mną stało. Dopiero po chwili zatrzymał się jakiś samochód i kierowca zapytał czy jestem cały. Byłem cały aż się dziwiłem, że żelastwo które woziłem w samochodzie nie porozbijało mi głowy. Karoseria była do kasacji. Wybrałem się do Wiednia z kolegą aby przywieźć samochód, który stał rok nieużywany. Stwierdziliśmy, że wszystko jest OK i jechaliśmy do Polski. Na autostradzie w Czechach długi dystans nawet 150 km/h. Po przejechaniu 500 km w końcu dojechałem do domu. Chciałem żeby szwagier pojechał samochodem dalej bo byłem tak zmęczony, że ledwie żyłem. Wyjechał spod domu i po 10 metrach stanął i nie ruszył dalej. Okazało się, że półośka wypadła i wbiła się w oponę. Tu dopiero okazała się moc ręki opatrzności bożej. Gdy kupiłem KIA pewnego razu wracałem od mamusi w zimie przez Rzeszów. Był tak potężny wiatr, że gnał tumany śniegu i usypywał potężne wydmy i zasy na 4-ce. Droga dodatkowo była oblodzona. Wszyscy jechali równo sznureczkiem około 40 km/h. Za Sędziszowem nagle wyjechał przede mnie jakiś człowiek i jedzie 20 na godzinę. Myślę są dwa pasy to go wyprzedzę. Zjeżdżam na środkowy pas a tu nagle przede mną wydma. Uderzenie i zaczynam tańczyć samochodem po drodze. Najpierw ślizgam się w kierunku owego samochodu. Kręcę kierownicą nic. Skręciłem do oporu. Obróciło mnie o 180 stopni i tnę na drugą stronę drogi. Na szczęście nic nie jedzie. Znow kręcę – nic. Do oporu i to samo – znow jadę na gościa. Zmieniałem tak kierunek 6 razy w końcu udało się opanować samochód. Człowiek jadący wspomnianym samochodem nawet nie przyspieszył żeby się oddalić od miejsca w którym tak tańczyłem. Wyminąłem go i pojechałem dalej. W Borzęcinie na całkowicie zlodziałej drodze i jeszcze padała marznąca mżawka wjechałem w koleinę. Miałem z 30 km/h. Gdy wyjechałem z koleiny wyrzuciło mnie jak torpedę i poleciałem do fosy po przeciwnej stronie drogi. Samochód łagodnie położył się w zaspie na boku. Nic się nie stało ale dopiero traktor z łańcuchami i kilku ludzi umożliwili wyciągnięcie samochodu. Tak było ślisko, że nie szło ustać na nogach. Kiedyś pewien Pan wjechał niegroźnie na mój samochód na śliskiej drodze gdy stałem na poboczu. Niedawno pewien młody człowiek w tym samym miejscu cofał na pałę i też uszkodził mój samochód. W dzieciństwie często spadałem z drzew na które uwielbiałem się wspinać. Drzewo musiało być wysokie. Zawsze wspinałem się na sam szczyt. Kilka razy zleciałem ze schodów w śliskich butach. Ćwiczenie padów w czasie studiów na chodniku w Krakowie pomogło mi wyjść z takich opresji bez większych szkód. Ciężka długa walka z depresją gdy ciemność dobrała się do mnie po zaaplikowaniu mi większej ilości rispoleptu też nie była przyjemna. Byłem momentami prawie pewien, że nie przeżyję – ale przeżyłem. Zresztą od czasu mych pierwszych objawień tak ciemność jak i światłość są przy mnie wciąż i atakują lub wspierają. Samo wchodzenie w ciemność [do piekieł] to jak być o

krocze od śmierci; z przerażenia za pierwszym razem, a drugim ze względu na bardzo bliski moment wciągnięcia całej mojej istoty i świadomości przez ciemność. Nawet atak w młodości złego ducha, który usiłował we mnie wejść był czymś co można porównać z agonią ze strachu. Przy tych atakach ciemności tylko wzywanie Jezusa i moje miłosierdzie było mi orężem. Kiedyś w tym zmaganiu będzie mi dane użyć całej mocy miłości. Ciemność nie oszczędzała mnie nigdy. Atakowała mnie lub działała na zdrowie i samopoczucie. Niegodziwość ludzka inspirowana mamoną i władzą też mnie długo ścigała [o czym w poprzednich rozdziałach].

Przy okazji wypadków powiem o dwu zdarzeniach, które miały miejsce w czasie pracy przy wożeniu drzewa. Kiedyś na początku lat osiemdziesiątych gdy Franciszek budował dom ładowaliśmy drzewo na dużą przyczepę ciągnikową. Tatuś zapinał stalową linę do ciągnika i wciągał drzewo na przyczepę. Myśmy pilnowali żeby drzewo równo szło. Nagle lina się zerwała a ciągnik zniknął nam z oczu. Przed nami była potężna skarpa. Wszyscy zamarli. Serce mi stanęło na chwilę. Po chwili rzuciliśmy się bogiem w stronę skarpy. Patrzymy a tu ciągnik zasuwa prościutko jak po sznureczku w dół skarpy. Dopiero na długiej łące powoli wytracił szybkość. Tatuś nie spanikował tylko trzymał kierownicę i jechał prościutko dzięki temu przeżył. Gdy jakąś dróżką wyjechała na górę dopiero po wyjściu z ciągnika zaczął się trząść. Organizm dopiero odreagował. Drugi przypadek nie był związany z jakimś szczególnym wypadkiem tylko z dużym wspaniałym czerwonym dębem. Był potężny ale pień miał wykształcony dość nierówno. Tatuś usiłował go koniem przywieźć do domu ale kilka razy im spadał i zachowywał się jakby był żywy. Gdy przyjechaliśmy po niego ja podciągałem kloce na linie na przyczepę. Kilka razy dąb się wywinął i trzeba było zaczynać operację załadunku od nowa. W końcu udało się dąb już był na przyczepie. Ale mnie w ciągniku zakleszczył się bieg i przeciągnąłem pień za burtę. W końcu udało się go załadować. Wiedzieliśmy, że na tym nie będzie koniec. W tartaku spadał cały czas z wózków. Okazało się, że jest nas za mało żeby dać sobie z nim radę. Dopiero inni chłopcy którzy byli w tartaku pomogli nam załadować pień i wszyscy pilnowali żeby udało się go pociąć. Po pocięciu na deski wydawał tak intensywny zapach, że jeszcze nigdy nie czułem żeby pocięte drzewo tak niesamowicie pachniało. Jak widać było w moim życiu trochę wypadków. Jakoś przeżyłem szczęśliwie bo woła bożą było abym żył. To ciemność jest zawsze odpowiedzialna za każdy wypadek i każde niepowodzenie. Światłość nigdy nikogo nie skrzywdzi w żaden sposób. Wszelkie działanie na szkodę człowieka jest niejako zadaniem ciemności. U mnie nie tylko działa na szkodę ale jeszcze najwyraźniej toczy ze mną walkę, bo ja tej walki ani nie zaczynałem ani do niej nie dążę. Dlaczego właśnie ja jest dosyć zrozumiałym zwarzywszy na rolę jaką pełnię w historii zbawienia.

Dlaczego ciemność tak bardzo walczy by osłabić moją siłę i wolę, by się mnie pozbyć lub wchłonąć? Wiem, że wielu się modliło bym podjął i wspomógł ich w walce z mocami ciemności. Pokonanie potężnych duchowo istot jest zawsze głównym celem ciemności. Z innymi wtedy może wtedy jej pójść już łatwo. Ciemność wykorzystwała już wiele sposobów w walce ze mną. I tak ona jak i ja doskonalimy się. Ostatnimi czasy słudzy ciemności sondują całą moją pamięć – od urodzenia. Wszystkie wzloty i upadki, siłę i słabości, każde uczucie, każdą najdrobniejszą myśl. Przypuszczam, że w tej chwili wiedzą o mnie więcej niż ja wiem o sobie. Jak wykorzystają tę wiedzę? Przecież sama ciemność i jej słudzy boją się wyjść na scenę tak jak nie boją się wychodzić na scenę synowie światłości. Kogo i jak zainspirują do działania? Bóg jeden wie z której strony przyjdą kolejne ataki? Pewnie będzie to dosyć prozaiczne.

11. Budowane Jedności i co dalej?

Gdy bezkrwawo mijał komunizm wielu miało pełną świadomość, że to wszystko dzięki wstawiennictwu Maryi, która wyjednała ten akt miłosierdzia dzięki licznym modlitwom i dzięki temu, że mieliśmy Polaka Papieża Jana Pawła II. Komunizm dogorywał w latach osiemdziesiątych. Wiadomo było, że taki ustrój nie może się długo utrzymać. Nękani postępującym spadkiem wartości pieniądza, kolejkami, dawaniem łapówek by załatwić cokolwiek, ciągłymi obietnicami coraz to nowych reform i demagogią posuniętą tak

daleko, że trudno się było połapać kiedy się mówi prawdę a kiedy nie ludzie mieli tego serdecznie dość. Cały naród był udręczony. Więc bardzo bardzo wielu uciekało się po pomoc i ratunek do Boga, do Jezusa, Maryi i Świętych. Nawet liczni partyjni pokątnie modlili się i przyjmowali sakramenty czy też robili niedzielne dalekie wycieczki poza swe miejsce zamieszkania by uczestniczyć w Mszy Świętej. Ten wzrost pobożności i szukanie ratunku w Bogu sprawiło, że komunizm odszedł bardzo spokojnie i bezboleśnie. Wielu twierdzi, że to było programowe i dobrze zaplanowane przez elity, które się dogadały aby można było wprowadzić demokrację, a władzy i wpływów nie stracić. W każdej bajce jest trochę lub dużo prawdy – jest więc i w tej.

Jako młody człowiek pełen ideałów widziałem świetlaną przyszłość i byłem przekonany, że można stworzyć szczęśliwy świat bez wojen. Nawet trudności ze znalezieniem pracy nie załamały tego. Gdy zobaczyłem co znaczą układy i że w nowym ustroju społecznym jedynie sprytnie kontynuuje się dawny styl bycia podłamałem się. A gdy przeszliśmy prawdziwą burzę w urzędzie spowodowaną żądzą pieniędzy, władzy i dominacji i zobaczyłem co człowiek może wyhodować w sobie i jak być okrutnym dla drugiego podłamałem się. Nawet był krótki moment, że byłbym zwątpił w drogę do świętości. Narodzenie Lucjana odratowało mnie i mogłem żyć i pracować dalej. Zagoniony i borykający się z rozlicznymi zawodowymi i egzystencjalnymi problemami, zapracowany by zarobić więcej grosza, przeżywający kolejne dramaty i porażki, a mimo to natchnięty pragnieniem poznania Boga wierzyłem i widziałem promyk nadziei na świętość własną i świata. W końcu nie przypadkiem Ojciec Święty jest Polakiem. W końcu nie przypadkiem w tym samym czasie działają na Ziemi potężne duchowe istoty jak np. Sathya Sai Baba, który ogłosił się awatarem pełni i potwierdza to swą niepojętą nauką. I dzięki niepojętej łasce bożej poznałem Boga, Siebie i Prawdę dołączając do liczного grona głosicieli Prawdy. Od razu zdałem sobie sprawę, że moja mowa będzie trudna. Jednak nie od razu zdałem sobie sprawę, że będzie za trudna z wielorakich przyczyn. Dla wąsko pojmujących wybraństwo ze względu na strach przed utratą wybraństwa. Dla tych którzy żyją jako niewolnicy mamony tym bardziej. A z czasem zorientowałem się, że odporność naprawdę jest ogromna bo ludzie zupełnie inaczej pewne sprawy rozumieją i znają i twardo trzymają się swego wąskiego schematu prawdy wciąż innym zaprzeczając. Od swego przebudzenia do dziś w wielu miejscach coś zostawiłem; to tekst drukowany, to dyskietkę to krążek z licznymi naukami. I jak w życiu ze względu na moją twardą postawę wielu byłem niewygodny i woleli mnie odsunąć tak i teraz wywołuję powoli burzę i wielu zaczyna być zszokowanych moją mową. Twardo mówię i wymagam. I tak samo oni, jak to już wielokrotnie było, postawią mi twarde wymagania, których być może nie spełnię nie nadążając za rosnącymi wymaganiami. Jak zawsze byłem obowiązkowy i co sobie nie wymyślili [nawet jeśli to było bez sensu i bez umocowania prawnego] to spełniałem by ci którym pracę wykonywałem nie byli pokrzywdzeni. Więc biegałem po urzędach i poprawiałem opracowania tak czy siak. Kilka razy zdecydowanie się sprzeciwiłem i wtedy była to droga przez mękę – ale w ostateczności zwycięska. Dziś zakres mego działania ze względu na realizowaną misję rozszerzył się poza znajomych, inwestorów i urzędy i obejmuje już wszelkie środowiska do których usiłuję dotrzeć ze swym przesłaniem. Widząc jak wszystko podporządkowuje się mamonie i reguluje się to prawem wiem, że czasu za wiele nie ma. Wznieca się w ludziach bardzo niskie instynkty i żądze w bardzo programowy sposób. Jeśli dziś każdy komu drogie jest zbawienie świata nie stanie się apostołem i świadkiem Boga to niewola w którą człowiek się wpędza będzie narastać i tym samym będą narastać ciemności. Byłem naiwny gdy myślałem, że układy stopniowo zanikną. Im silniejsze są rządy pieniądza układy mocniej narastają, niewola się pogłębia bo i kontrola nad zwykłymi ludźmi jest doskonalsza, sumienia są coraz bardziej wykrzywiane i najwyższa wartość jaką jest człowiek jako boska święta istota odchodzi w zapomnienie. Mój Boże jak na to patrzę to mi niedobrze i przenika mnie ból planety oddzielającej się od Boga i umierającej.

Końcem 2002 roku gdy kończyłem swe prorokowania i wyjaśnianie spraw niesamowitych przyszedł jakby nakaz, który wyrzył się w mej świadomości „JEDNO CZ ICH!”. Lecz jak? Widząc co się dzieje w Ojczyźnie i w Świecie wiem, że tylko jedność ludzi duchowych – jedność dzieci światłości – uratuje tę planetę. Na razie napisałem w sprawie jedności w wiele miejsc. Próbowałem z tą ideą jedności wystąpić już w różnych środowiskach

żadnego nie pomijając. Lecz jeśli potraktowali mnie jak wariata to jaki owoc daje moja praca ? Z korespondencji widzę, że są bardzo nieufni, a niektórzy wrodzy. Ci którzy zajmują się złymi mocami czy też wrogimi kosmitami tak są przepakowani lękiem i spięciem, że z każdej strony spodziewają się ataku złego czy ataku obcych. Gdyby przeżywali mistyczne zmaganie na pewno potrafili by się rozluźnić, emanować miłością i współczuciem względem wszystkich istot i zupełnie inaczej spojrzeć na jedność. Byłem też już u duchownych w kilku miejscach. Muszę odwiedzić zapewne jeszcze wiele miejsc. Co dalej ? Jest i dla mnie zagadką. Jedno jest pewne - jednocząc mam w pierwszej kolejności zwrócić uwagę wielu na badanie bogatego materiału z różnych źródeł dotyczącego bliskiego końca czasów i przemiany ludzkości. Wiem, że dla poznania jedności człowiek musi poznać i Boga i siebie bo tak poznaje się najgłębszą istotę miłości i jedności. W momencie przemiany każdemu będzie dane to poznać przez krótką chwilę. Skierować pragnienie ludzkich serca ku Bogu by mogli uwolnić się z niewoli, zdobyli świętość i zostali przemienieni w Chrystusa to jest moje zadanie. Zjednoczyć w tej idei Polaków i Polskę to jest moje zadanie. Zjednoczyć synów i córki światłości bo ci których inspiruje i prowadzi ciemność też według wielu zapowiedzi na końcu czasu się zjednoczą. Bez jedności światłość będzie osłabiona i zbyt rozproszona. Co dalej i co jeszcze ? Gdy kolejne wydarzenia nastąpią i Bóg da odpowiedź jak dawał do tej pory będę pewnie wiedział co dalej i co jeszcze ?

23.02.2003